

nadodrże

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

ZIELONA GÓRA

ROK XXXI NR 23 [654]

15 — 28 XI 1987 R.

CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

millionerka

SAKSY
PO

KOBIETA
ZMIENNĄ JEST...

istnieć
znaczy tworzyć

WIDEN
KLUB
SCENY
mitosne

Wiec nad ściętą gruszą

Halina Ańska

Przed kilkunastu laty rosły tu bujne krzewy, wyznaczające bieg alejek, były trawniki i klomby. Na ławkach siadywały matki, a dzieci spały w wózkach lub baraszkowały na trawie. Latem ludzie przynosili leżaki i opalali się, osłonięci gestym jaśminem. Całość otaczała korona wysokich zdrowych drzew — dębów, brzoź, a z jednej strony wyjątkowo pięknych okazów topoli. Plac ogrodzony był metalową siatką, a wejścia strzegła furtka. Było to piękne miejsce.

Jeszcze dzisiaj, ktoś, kto tu nie mieszka i nie wie, co się stało, powie czasem o miejscu tym: „zieleniec”, „park” lub „ogródek jordanowski”. Mowa o placu przy ul. Bohaterów Westerplatte w Zielonej Górze, położonym za budynkami nr 8—22 i graniczącym również z ulicami Świerczewskiego, Warskiego i Niepodległości.

Najpierw czyjeś ręce porozrywały ogrodzenie i zlikwidowały furtkę. Przyjechał ciągnik — i cała siatka oraz ławki zostały zabrane. I to był początek końca. Po alejkach nie został nawet ślad, a zieleniec znikł. Ciężkie wozy. Plac zamienił się w parking dla TIR-ów i innych ciężarowych samochodów. Zbudowano nawet budkę dla dozorców, ale pewnego dnia spłonęła. Mimo to, samochody parkowały dalej.

Na części placu starsza dzieciarnia z nauczycielem — zapaleniem, urządziła boisko do piłki nożnej. I przez krótki okres boisko takie było: nawet z bramkami. Dalej jednak plac był bezpański, drzewa dewastowane, po kątach śmieć, których nikt nie sprzątał.

W drugiej połowie lat 70-tych miasto, oszołomione rozwojem motoryzacji, gwałtownie poszukiwało miejsce na parkingi. Zjawiała się więc na placu ekipa techniczna — i zaczęła robić pomiary. Resztki drzew miały zostać wycięte, a ziemia dokładnie na całej powierzchni obłana betonem. Była to perspektywa tak straszna, że na wieść o niej ludzie wyszli z mieszkań. Był to chyba pierwszy w Zielonej Górze zbiorowy protest przeciwko degradacji tzw. środowiska naturalnego, a zarazem przeciwko decyzji władzy. Jak potem się okazało, podobno decyzja ostateczna jeszcze wtedy nie zapadła i robiono tylko przymiarki.

Delegacja mieszkańców interwenio-

wała w Urzędzie Miejskim oraz w KW PZPR — i osiągnęła cel. Budowę parkingu w tym miejscu zaniechano. Byłby to zresztą szósty parking w promieniu 50-150 m! Jeden zbudowano właśnie u zbiegu ulic Bohaterów Westerplatte i Warskiego, vis a vis poczty, kosztami zresztą pięknego, żywego do ostatniego momentu, małego parku, z wysokimi drzewami, które zostały wycięte. Drugi parking zbudowany został koło Filharmonii, trzeci i największy — na Placu Wielkopolskim, czwarty przed Domem „Centrum”, piąty zaś był zaplanowany przed trwającym w budowie gmachem, w którym mieści się obecnie sklep „Hermes”.

Protestując przeciwko wycinaniu drzew i budowie parkingu, delegacja wyłożyła wówczas władzom miasta swoje racje, potrzeby i postulaty. Ze ciężko się żyje ludziom ściętym między parkingami, w jednym z najszybszych punktów Zielonej Góry. Ze wdycha się tu znacznie więcej kurzu i spalin, niż na nowych osiedlach. Ze zieleni potrzebna jest do życia, jakże bez niej wychowywać dzieci? — Prosimy cię, wysoka władzo miejska, przywróć nam park, taki, jaki był, a my obiecujemy społeczny udział w pracach.

Postulaty mieszkańców w ogóle nie zostały wzięte pod uwagę. Teraz niektórzy mówią, że za słabe było przebiecie, zbyt opieszale komitet osiedlowy, zabrakło też zaprzyjaźnionego, bądź zainteresowanego radnego, który temat ten wniosłby pod obrady MRN. Są też zarzuty, że nie było oparcia w prasie — co jest prawdą może tylko częściową, ponieważ „Nadodrże” pisało parę razy, a „Gazeta Lubuska” również, o czym — za chwilę.

Tak bywa, że przyjdzie petent, wygada się i na tym koniec, bo urząd i tak zrobi, jak chce i jak wcześniej postanowił. Tak więc na plac przyjechały koparki i zwinione zostały żelazne konstrukcje i wielkie ilości rozmaitych materiałów budowlanych. Z początku były to sędne dni, ale wkrótce nastąpiła cisza i bezruch. Jedni mówili, że buduje się PZU, inni, że cech rzemiosł. Jak się po paru latach okazało, rację mieli ci drudzy.

Tymczasem miejsce to zdegradowało się już ostatecznie. Nie największym złem były karuzele, strzelnice, i cyrk, który w przeszłości rozbijał

tu namioty. Teraz na placu budowy w zbitym z desek kantorku gromadzili się meły pijackie. Nocami budzili lokatorów dźwięki wrzaski i ryki. Zbieracze butelek każdego ranka mieli tutaj dobre łowy, a gdyby zgarnąć kapsle i zakrećki, usypałaby się wysoka hałda. Na razie leżały hałdy ziemi, które sprawiły, że było tu zaciśnie, więc pijacy robili sobie legowiska. Latem cuchnęły tu resztki zagrychy, a zimą dzieci jeździły na saneczkach.

Gmach rzemiosła objawił się wiosną br. Mieszkańcy okolicznych domów patrzyli nań z niechęcią, ale mimo wszystko z nadzieją, że to już koniec. Padły ofiarą drzewa z jednej strony i pod budynek poszła spora część powierzchni placu. Ale zostało jeszcze miejsce na zieleniec! Wystarczy postawić z dwóch stron tabliczki z zakazem wjazdu, a tym samym zlikwidowany zostanie przejazd przez plac — między ulicami Bohaterów Westerplatte i Warskiego! Potem tylko skopać ziemię, zasiać trawę, zasadzić drzewka i krzewy...

Ale stało się odwrotnie. Znowu przyjechała koparka — i znów zwiniono materiały budowlane. Tym razem już dosłownie przed nosami mieszkańców zaczęła się nowa budowa. Zaraz w pierwszym dniu padła ofiarą ukochana przez wszystkich, zdrowiutka, pokryta wiosennymi pakami, grusza. Zrabano też rosnący obok orzech. Seledzia dokonano cichaczem, w porze, gdy większość ludzi przebywała w miejscach pracy.

W okolicznych domach zawrzało. Wszyscy wylegli na zewnątrz. Poproszono fotoreportera „Gazety Lubuskiej” — i nazajutrz ukazała się krytyczna notatka ze zdjęciem ściętej gruszy. Kilka innych drzew zostało zagrożonych, gdyż koparka uszkodziła poważnie korzenie. Oburzeni mieszkańcy jednomyślnie postanowili zwołać wiec i zażądać obecności na nim — wiceprezenta, w którego gestii znajduje się resort gospodarki komunalnej i ochrony środowiska. Padło nazwisko wiceprezenta Blachowiaka i do niego powędrowała delegacja.

Wiec odbył się 27 kwietnia 1987 r. zgromadził około 500 osób. Wielu mieszkańców przyjechało z dziećmi. Był obecny przewodniczący komitetu osiedlowego. Zjawił się przedstawiciel władzy, ale nie ten, którego oczekiwano, mianowicie — wiceprezydent Karczmarski w asyście dwóch architektów miejskich — byłego i aktualnego oraz paru urzędników. Spotkanie miało przebieg burzliwy. Przedstawiciele władzy z początku próbowali

29 listopada odpowiadamy na te pytania:

1. Czy jesteś za pełną realizacją przedstawionego Sejmowi programu radykalnego uzdrowienia gospodarki zmierzającego do wyraźnej poprawy warunków życia społeczeństwa, wiedząc, że wymaga to przejścia przez trudny dwu-, trzyletni okres szybkich zmian?
2. Czy opowiadasz się za polskim modelem głębokiej demokratyzacji życia politycznego, której celem jest umocnienie samorządności, rozszerzenie praw obywateli i zwiększenie ich uczestnictwa w rządzeniu krajem?

Ciąg dalszy na str. 4

Opinie i refleksje

Rewolucja trwa

W zbrojnym powstaniu w Piotrogródzie poległo sześć osób. Sądzę, że w owym czasie w tym ogromnym mieście codziennie więcej ginęło w różnych wypadkach. Bolszewikom łatwiej było zdobyć władzę niż ją utrzymać. Narzucono zwycięskiej, niemalże bezkrwawej Rewolucji, wojna domowa i interwencja zbrojna kilkunastu państw pochłonięła, po obu stronach, setki tysięcy ofiar. Z tymi, którzy w tych ciężkich latach zmarli z głodu i chorób nie tylko na Powołżu, z pewnością były miliony. Po pierwszym, wszystkim paraliżującym szoku, stary świat tak łatwo nie chciał odejść do historii.

Niezapomniane wrażenie wywierała maleńka, wobec dzisiejszych kolosów, pancernik „Aurora”, skąd iskrówką nadano na wszystkie strony depeşe o zwycięstwie pietrogradzkich robotników i żołnierzy, i miało to wcale nie mniejsze znaczenie niż ów „wysztat armatni”, oddany kilka godzin wcześniej i jak wiadomo, ślepym pociskiem, żeby nie zranić Piotrowego miasta. Lenin zakładał przecież łagodną rewolucję. „Czekę” także nie od razu powołano. Powołano ją zresztą do obrony młodzieńczej władzy, której już nazajutrz z wielu stron zarzucono pętlę na szyję. Wypaczenia, mówiąc naszym językiem, przyszły później.

Nie mniejsze wrażenie wywierał p-kazywany w Gorkach odrzucenie przez Lenina sporządzonego planu elektryfikowania tej wówczas podmoskiewskiej wsi. Rosja, kraj także wówczas przecież ogromny, ginęła nie tylko w metaforycznych ciemnościach. Rewolucja przyniosła jej także żarówkę. Ostatnie ślady nieprawdopodobnego zacofania Rosji Romanowych szczególnie na południu tego kraju można spotkać jeszcze dziś.

Wojna domowa, interwencja to były pierwsze, trudne do wyobrażenia, ciosy zadane Rosji Radzieckiej. Produkcja przemysłowa w tym państwie w 1920 roku była siedmiokrotnie niższa w porównaniu do 1913 roku, a przecież Rosja carska nie była potęgą przemysłową, ustępowała Stanom Zjednoczonym o miliony ton wyprodukowanych towarów. Kraj Rad istotnie wyłonił się z chaosu wojny domowej, z krwi, biedy, chorób.

Socjalizm to, oczywiście, jak każdy ustroj społeczny, dzieło zbiorowe. W Związku Radzieckim budowany na ogromnym terytorium, właściwie kontynencie, nad którym nigdy zupełnie nie zachodziło słońce, przez wiele lat w izolacji, rzecz oczywista bez żadnych doświadczeń, przez ludzi z wszystkimi ich zaletami i wadami. Dla milionów obywateli radzieckich droga do socjalizmu to była „droga przez mękę”, ale także poprzez „wielkie piece Magnitogorska”, bezprzykładne ratowanie „czeluskowców” niepowtarzalny w swoim surowym pięknie Kanał Fergański wykopywany dosłownie motykami, ale także nieprawdopodobny strach, strach towarzyszący ludziom w ich własnych domach od przebudzenia się do zaśnięcia, tak znakomicie opisany w „Dzieliach Arbatu”.

Często zastanawiam się, jaki byłby socjalizm, gdyby nie przedwczesna śmierć Lenina. Była ta śmierć dla socjalizmu niewyobrażalnym ciosem. Lenin zmarł mając zaledwie pięćdziesiąt cztery lata. Wszyscy o tym wiemy, ale rzadko to sobie uświadamiamy. Stał on na czele stworzonego przez Rewolucję państwa bardzo krótko. Zwiędział mu zeum w Gorkach uświadamiając sobie, że było to mniej niż sześć lat. Przez wiele miesięcy Lenin ciężko chorował, był sparaliżowany, wożono go wózku inwalidzkim. Był wielkim przywódcą partii, państwa, międzynarodowego ruchu robotniczego, przywódcą — demokratą, w przeciwnieństwie do Stalina, który był przywódcą — dyktatorem. Wiele cech Lenina było po prostu Stalinowi obcych. Niewiele jest postaci w dziejach ludzkości, które by, podobnie jak Stalin, pozostawiły po sobie tak głębokie ślady, pozytywne i negatywne, dobre i złe. Sądzę, że niektóre negatywne ślady pozostawione przez Stalina tkwią w socjalizmie do dziś. I będzie bardzo trudno je wypłenić.

Jeszcze nie wygasły wszystkie ogniska wojny domowej a już Lenin odwołał się do gospodarczej zbiorowej i indywidualnej aktywności, bo socjalizm to także aktywność społeczna. Nie może go zbudować bierność, pogrążone w apatii, społeczeństwo. To, co się od kilkunastu miesięcy dzieje w Związku Radzieckim: pierestrojka, przebudowa, „rewolucja w rewolucji” jak określa ją niektórzy na Zachodzie, jest również powrotem w nowej sytuacji cywilizacyjnej i politycznej do początków socjalizmu, do jego źródeł, do idei i zasad Lenina.

Rozpoczynając w 70 lat po sturmie na Pałac Zimowy, do którego tak przynaglał Lenin, zbiorowe dzieło przebudowy w ZSRR, Michail Gorbaczow wcale nie retorycznie zapytał: jeśli nie my, to kto, jeśli nie teraz, to kiedy?

To dramatyczne pytanie dotyczy nie tylko obywateli Związku Radzieckiego. Nas, Polaków, też.

JACEK WOCH

NIE MA GOTOWYCH RECEPT

Wczesne lata osiemdziesiąte to „okres nadziei i rozczarowań”, by użyć tu słów Mieczysława F. Rakowskiego. To kolejny protest klasy robotniczej przeciwko wypaczeniom socjalizmu, jego sformalizowaniu i zbiurokratyzowaniu. To naturalny protest przeciwko „propagandzie sukcesu”, zakłamanemu kształtowaniu opinii publicznej, lansowaniu hasła o jedności moralno-patriotycznej całego społeczeństwa.

A nieco później zaostriżyła się wyraźnie polaryzacja stanowisk. Zakotłowało się w kraju. Dogmatycy i rewizjoniści, ekstremalna zacietrzewiona opozycja niszcząca totalnie dorobek powojenny — partia, która na swym IX Nadzwyczajnym Zjeździe sformułowała program od nowo i reformy, wytyczyła linię „walki i porozumienia”. Podstawowe organizacje partyjne, okaleczone i obalone, osłabione ideologicznie i organizacyjnie, z trudem odbudowywały swój status. Z krytycznej oceny niedawnej przeszłości jak i z leninowskiej nauki o partii wypływały konkretne wnioski: zachowując nienaruszalność zasady centralizmu demokratycznego w partii, wzmocnić zde-

cydowanie jej wewnętrzny demokratyzm jako fundament rzeczywistości, a nie deklaratywnej jedności. I po drugie — strzegąc kierowniczej i przewodniej roli partii w życiu kraju, trzeba odrzucić, wyrwać z korzeniami, administracyjne formy jej działania, doskonaląc i wzbogacając właściwe partii metody oddziaływania politycznego.

Takie wnioski potwierdził i uzupełnił X Zjazd. I te wnioski nie pozostały „papierowym tygrysem”. Z lepszym lub gorszym skutkiem przystąpiono do ich urzeczywistnienia we wszystkich ogniwach PZPR. Niestety, apatia części społeczeństwa, głęboki kryzys gospodarczy i wiele jeszcze innych przyczyn spowodowało, że — pomimo rozlicznych nowych aktów ustawodawczych, rozszerzenia koalicyjnego systemu sprawowania władzy, realizowania postulatów PRON i widocznego gołym okiem kształtowania pluralizmu — zbyt wolno toczył się ten proces przemian, także w partii.

Dzisiaj staneliśmy u progu konieczności radykalizowania wszelkich działań społeczno-gospodarczych oraz zmian modelowych działania podstawowych orga-

nizacji partyjnych w zakładach pracy, środowiskach społecznych, w miastach i na wsi. To po przeprowadzonej ostatnio reorganizacji Centrum i w obliczu czekającego nas referendum, dotyczącego wszakże nie tylko problematyki gospo-

Z REGIONU

darczej ale i szeroko pojmowanej samorządności — stawia wobec członków partii nowe zadania: radykalnej zmiany sposobu myślenia i działania. Głębszego zrozumienia zachodzących przeobrażeń zarówno u nas, jak i w Związku Radzieckim. Aby szybciej wygrać się z tego dolka kryzysowego, należy zatem zmienić zarówno styl pracy, jak i styl życia. To brzmi jak truizm, ale taka jest prawda. Dotyczy ona również wszystkich ludzi z legitymacją partyjną. Dotyczy ona ich przede wszystkim...

Mówiono o tym obszernie na ostatnim plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze. Opinie egzekutywy KW wyraził sekretarz Józef Małańczuk. Wyraźnie zaznaczył, że dzisiaj — w dobie reformy, rozwijania samodzielnosci i samorządności — nie ma gotowych recept na aktywną dzia-

łalność POP. Wszakże jest pewne, że to one powinny inspirować i dawać impulsy nowym inicjatywom, wystrzegając się schematyzmu i szablonowości w codziennym działaniu. Chodzi przede wszystkim o to, aby każda POP wnikliwie oceniła swoją kondycję i po nowemu traktowała swoje funkcje statutowe: programujące, kontrolne, inspiratorskie i kadrowe. Samodzielność POP będzie wówczas autentyczna, jeśli potrafi ona we własnym zakresie podejmować decyzje społeczno-polityczne, nie czekając na odgórne dyrektywy. Do najistotniejszych zadań w pracy wewnątrzpartyjnej należy umacnianie małych organizacji partyjnych, odważne poszukiwanie nowych rozwiązań społeczno-gospodarczych i konsekwentne torowanie drogi drugiemu etapowi reformy gospodarczej. Na własnym podwórku, we własnym środowisku, ale — nie tracąc z pola widzenia potrzeb ogólnokrajowych.

Podpisuje się pod słowami I sekretarza KW Zbigniewa Niemińskiego, który zamykając obrady powiedział mniej więcej tak: nie ma uniwersalnego modelu rozwiązywania problemów naszego czasu. Ale pewne jest, iż głównym kryterium oceny pracy każdej POP jest i będzie skuteczność podejmowanych wysiłków. I krytycznym wobec tego, co sami robimy, i co robią inni.

ZENON ŁUKASZEWICZ

Za ODRĄ

Ożywienie współpracy

ze Szwecją

Ubiegłe lata przyniosły dalsze ożywienie tradycyjnie dobrej współpracy NRD — Szwecja. Rozwojowi wszechstronnych stosunków między tymi krajami sprzyjały niewątpliwie dogodne połączenia przez Bałtyk oraz korzystna struktura gospodarki obu krajów. Jednak w ostatnim okresie po obu stronach Bałtyku podejmuje się wiele działań mających na celu dalsze zbliżenie. Widocznym tego przykładem była oficjalna wizyta sekretarza generalnego KC NSPJ, przewodniczącego Rady Państwa NRD — Ericha Honeckera w Szwecji. Według zgodnej opinii obserwatorów po jednej i drugiej stronie Bałtyku zapoczątkowała ona nowy, wyższy etap we wzajemnych stosunkach. Podpisany program rozwoju stosunków handlowych i gospodarczych, oprócz tradycyjnej współpracy między obu krajami, przewiduje dalsze zacieśnienie współdziałania pomiędzy poszczególnymi firmami i przedsiębiorstwami oraz rozwój kooperacji w produkcji przemysłowej, a także wspólne działania na rynkach trzecich. Realizacja postanowień zawartych w tym dokumencie już trwa. W roku minionym eksport szwedzkich maszyn i aparatury przemysłowej oraz wyrobów przemysłu motoryzacyjnego był o prawie 30 proc. wyższy niż w roku 1983. Podobne tendencje również wystąpiły w eksporcie usług budowlano-montażowych na rynek NRD.

Szwecja od wielu lat specjalizuje się w budowie nowoczesnych hoteli na terenie NRD. Dziełem szwedzkiej firmy są hotele w Berlinie, Dreźnie, Rostoku oraz w kilku innych tutejszych miastach. Perspektywy najbliższych kilku lat rysują się jeszcze korzystniej. Łączna wartość podpisanego niedawno z dwiema firmami szwedzkimi kontraktu na budowę linii produkcyjnej w kombinacie chemicznym Bitterfelde ma wynieść 1 mld koron szwedzkich. Szwedzkie przedsiębiorstwa zatrudniają będą na wielu innych budowach u naszych sąsiadów zaa Odry.

Program współpracy zakłada także wzrost eksportu NRD do Szwecji. Budowlani NRD wnoszą obecnie jeden z największych terminali kolejowych w Sztokholmie. Ich dziełem jest również nowoczesny ośrodek obróbki metali w zakładzie Mjoeby, a niebawem podpisane zostaną kolejne kontrakty na dostawę podobnych urządzeń do Szwecji. Zawarto również porozumienie zeglugowe w sprawie wzajemnej wymiany ekspertów gospodarczych. Wszystko to stanowi nowy element w dotychczasowej współpracy obu sąsiadujących ze sobą przez Bałtyk krajów.

Przepełnione pociągi

do RFN

Jesień przyniosła dalszy wzrost wyjazdów turystycznych obywateli NRD do RFN. Widać to również w pociągach z Saksonii, Meklemburgii i Turynii, które przyjeżdżają do Niemiec Zachodnich przepełnione. Jak pisał „DIE WELT”, dla ich rozładowania wprowadza się na terenie RFN pociągi dodatkowe na najbardziej ruchliwych szlakach.

Ożywienie ruchu turystycznego między dwoma państwami niemieckimi stanowi kolejny przykład postępującej

szybko normalizacji stosunków między NRD i RFN, widocznej zwłaszcza po wizycie Ericha Honeckera w Bonn i jego rozmowach z tamtejszymi politykami. Ich efektem jest liberalizacja przepisów NRD w sprawie wydawania zezwoleń na wyjazdy. Jak pisze cytowany już „DIE WELT”, od początku przyszłego roku ponownie rozszerzony zostanie krąg osób, którym będzie się wydawać takie zezwolenia. Nowe regulacje dopuszczają także możliwość uzyskania zezwoleń na wyjazdy przez pracowników aparatu partyjnego oraz członków organizacji paramilitarnych. Objęte nimi zostaną także młode kobiety po ukończeniu 18 roku życia. Natomiast mężczyźni ze względu na obowiązek służby wojskowej liczyć się muszą z tzw. kwarantanną, która trwać może, zależnie o rodzaju służby, od sześciu miesięcy do trzech lat.

Warto podkreślić, że wraz ze wzrostem wyjazdów obywateli NRD do RFN, maleje liczba osób, które nie wracają do swojej ojczyzny. W grupie obywateli poniżej 60 roku życia decyzje w sprawie pozostania w Niemczech Zachodnich podjęło zaledwie 0,37 proc. wyjeżdżających. Wydaje się, że to właśnie jest głównym powodem liberalizacji dotychczasowych przepisów NRD w sprawie rozwoju turystyki do drugiego państwa niemieckiego. Jak wynika z informacji Ericha Honeckera, przekazanej prasie w czasie wizyty w RFN, do końca tego roku granice tego kraju przekroczyło ma łącznie 3,2 mln obywateli NRD.

Życie muzyczne

Wieloma osiągnięciami szczyci się życie muzyczne w NRD. Istnieje tu 30 samodzielnych zespołów, a wśród nich tej klasy, co Drezdeńska Orkiestra Państwowa, Lipski Gewendhaus i Berlińska Orkiestra Symfoniczna. Niezależnie od tych zespołów, 43 orkiestrami dysponują placówki teatralne. Przejawem ich działalności jest 6 tysięcy koncertów rocznie dla blisko trzech milionów słuchaczy. Międzynarodową sławę zyskały dwie sceny muzyczne w stolicy NRD: Opera Państwowa oraz Komiczna. Równie słynną sceną jest z pietyzmem odbudowana po wojennych zniszczeniach zabytowa Semperopera w Dreźnie.

Za LABĄ

Układ o ochronie przed radiacją

RFN i NRD parałowały układ o ochronie przed radiacją. Według informacji federalnego ministerstwa ochrony środowiska, układ nawiązuje do porozumienia wiedeńskiego o natychmiastowym informowaniu się o awariach jądrowych, zawartego po awarii w Czernobylu.

Układ reguluje wzajemną wymianę informacji energii jądrowej. Republika Federalna i NRD zamierzają powiadomić się także wzajemnie o „niezwykle podniesionych wartościach radioaktywności”, których „nie można przypisać awariom jądrowym na ich obszarze”. Ponadto uzgodniono wymianę informacji o metodach i wynikach kontroli ochrony przed promieniowaniem, o obiektach dla napromieniowanych materiałów paliwowych oraz o usuwaniu odpadów radioaktywnych i o zamierzonym uruchomieniu urządzeń techniki jądrowej.

Nowa firma

radziecko-

zachodnoniemiecka

Agencja AFP poinformowała, że zapadła decyzja o utworzeniu mieszanej przedsiębiorstwa radziecko-zachodnoniemieckiego, które na terenie ZSRR produkować będzie żurawie samojedne o udźwigu 45 i 60 ton. Siedzibą jego będzie Odessa, a produkcja ma się rozpocząć w przyszłym roku, pod auspicjami zachodnoniemieckiej firmy Liebherr stowarzyszonej z kilkoma miejscowymi firmami radzieckimi. Ustalono produkcję roczną na 700 żurawi, a zamierzenia na przyszłość przewidują, że wytwarzać się będzie także urządzenia z udźwigiem 160 ton. Nie podano wartości finansowej przedsięwzięcia.

Firma Liebherr od 20 lat współpracuje z radzieckimi organizacjami handlu zagranicznego. Dostarczała ona skrynie biegów do samohodów moskiewskich i kamaz, a także sprzęt dla rolników, zaś w 1981 r. dostarczyła 300 szt. żurawi teleskopowych.

(x)

Politycy czy aferzyści ?

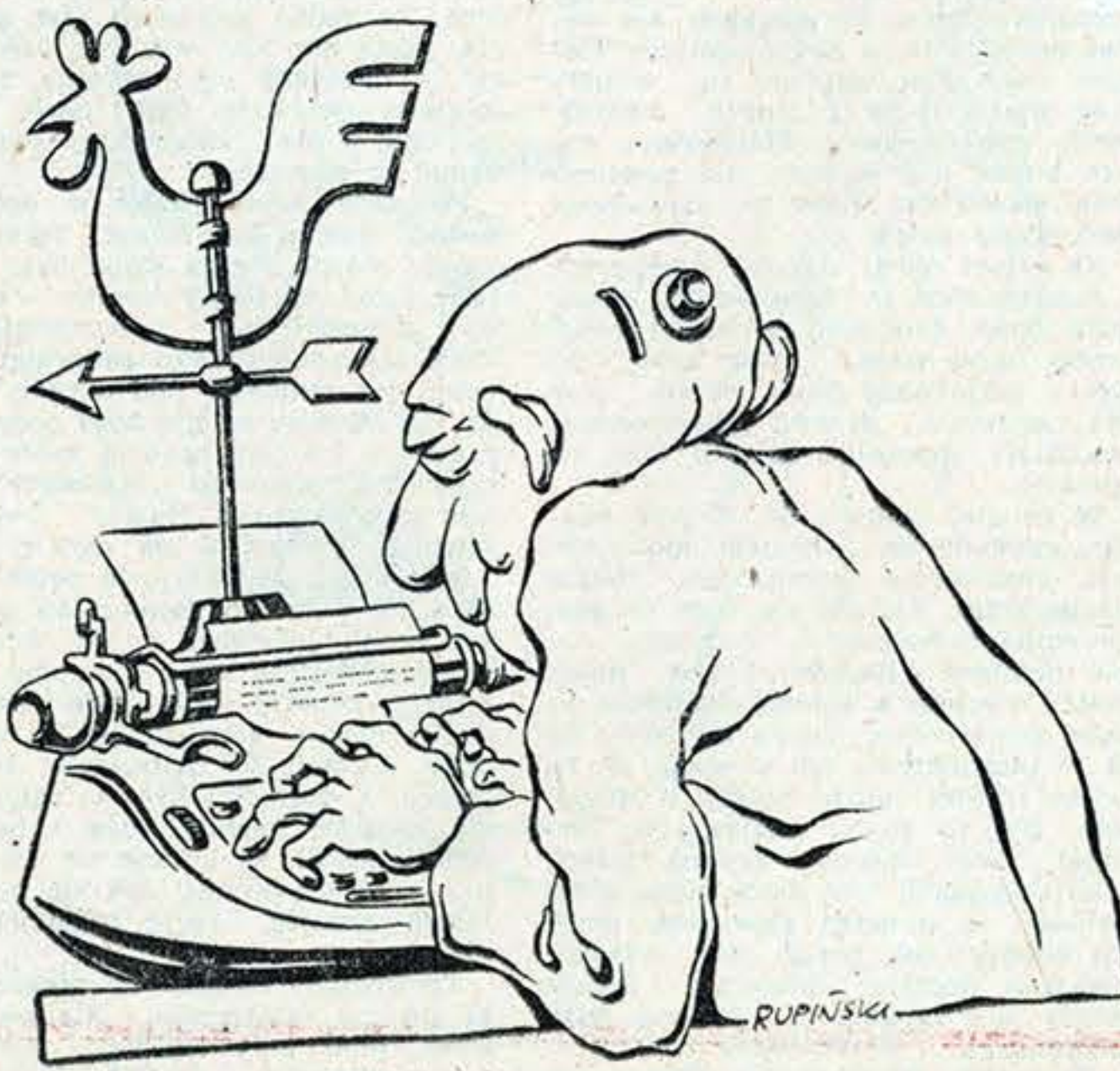
Takie pytanie coraz częściej stawiają środki masowego przekazu w Republice Federalnej Niemiec. Jeszcze nie uchliła głosiła afera wokół łapówek płaconych wielu czołowym politykom przez koncern Flicka, jeszcze całe państwo emocjonuje się głosiła afera w Szwabiku-Holzstynie, a już hamburski tygodnik „Spiegel” ogłosił następną brudną sprawę. Minister Zdrowia w rządzie krajowym Nadrenii-Westfalii zaprzagnął ostrzec młodzież przed groźbą AIDS. W tym celu zlecił firmie „Bruno” — zespoły artystyczne opracowanie rewii. Ministerstwo zapłaciło 83.000 marek za „trudny artystycznie i muzycznie do opracowania temat” oraz dalsze 10.500 marek na uzupełnienie kostiumów scenicznych, oraz po 500 marek dla każdej z występujących osób za poszczególny występ. Minister Heinemann już od dłuższego czasu zachwalał tę akcję i domagał się wystawienia rewii w maksymalnej ilo-

Inne hasła, dawna treść

Jak co roku, organizacje rewizjonistyczne w RFN obchodzily w tym roku, w różnych terminach, tzw. Dzień Stron Ojczystych. Gośćmi tych imprez byli, jak zwykle, także oficjalni przedstawiciele rządu federalnego i władz lokalnych. Liczni politycy opublikowali też — przeważnie na łamach prasy rewizjonistycznej — okolicznościowe teksty. Na łamach „Volksbote” (nr 38) uczynił to na przykład federalny minister spraw wewnętrznych, Friedrich Zimmermann. Zapewnił, że również w przyszłości, na miarę swych sił i możliwości, będzie wspierał „odpowiedzialną pracę Związku Wypędzonych”. Podobnie jak inni, nawoływał do kontynuowania wysiłków mających na celu zapewnienie „rodakom w europejskich państwach rządzących przez komunistów” prawa do „pielegnowania wspólnie z innymi Niemcami własnego życia kulturalnego, wyznawania swojej religii oraz posługiwania się językiem ojczystym”.

(x)

Z zielonogórskiego konkursu na rysunek satyryczny pt. „Prasa”.



Rys. JACEK RUPINSKI

— Sprzedają, nie sprzedają, ja tam, panie, nie wiem. Co mnie oni obchodzi? — Krysiakowa oderwała ręce od sztachet, odeszła, zawołała na kapiące się w jeszcze ciepłym piasku kury i zawróciła pełną ciekawości. — A skąd pan wie, że jest dom do sprzedania? — spytała chytrze.

— Z gazety — odrzekł i zaraz zła palem się na tym, że pewnie ktoś u Krysiaków przegląda „Gazetę Lubuską”. Zresztą, gdyby Łapkowska dała ogłoszenie do „Gazety”, cała wieś wiedziałaby o tym, a Krysiakowa pierwsza. — „Z Gazety Poznańskiej” — szybko poprawił się.

MILIONERKA

Piotr Giermek

— Pewnie, po co im dwa domy? I tak oni teraz więcej u teściów niż tutaj.

A więc prawda, Łapkowscy sprzedają dom. Ale jak to im udowodnić? Dotąd Łapkowski zapierał się.

— Pan z Poznańskiego? — Przytaknął. — I chce pan kupić ten dom? — Znowu przytaknął. — To musi pan mieć dużo pieniędzy. Nie zaprzeczylem. — Za ile? No, ile pan daje? — Rozłożyłem ręce. — Tu był jeden z Gorzowa. Podobno dawał trzy i pół miliona, a Łapkowska chce cztery. Tyle pieniędzy, że się w głowie nie mieści. Za grosze kupiła od państwa, bo ile ona wtedy dała? No, powiedz pan, ile taki dom mógł kosztować za Gierka? Dwieście tysięcy? Góra!... To pan chce kupić ten dom? — Jednak nie wierzy. Ma rację, nie wyglądam na milionera. — Za złotówki czy za dolary? Za dolary to ona sprzedałaby taniej.

— A... ten dom... jak jest? — brną dalej. — Wart cztery miliony?

— Widział pan drugi taki? — Zaprzeczyłem. — Panie, pięć pokoi na dole, dwie kuchnie, pokój i kuchnia na górze, piwnica. Centralne ogrzewanie jak w mieście. Woda zimna i ciepła. Tu dwie rodziny mogą spokojnie mieszkać. Do tego chlew. Kiedyś była jeszcze łożnica. A jaki ogród! Podwórko dwa razy większe od mojego. To jest nowy dom, chociaż poniemiecki. Był kilka razy remontowany. Za państwowe pieniądze — dodała głosem przelotnym, jak by się bała, że ktoś ją podsłuchuje.

— * —

Stanisława Łapkowska, wtedy jeszcze Woźniakówna, skończyła technikum rachunkowości rolnej i postanowiła zdać na studia do Poznania. Nie miała szczęścia zostać studentką Akademii

Ekonomicznej, choć w technikum szło jej nieźle. Rodzice byli jeszcze młodzi, prócz niej mieli dwóch synów, jeden był w technikum rolniczym, drugi kończył podstawówkę, więc poradziła, by Stanisława poszła do państwowej roboty, najlepiej do banku rolnego. — Na siebie zarobisz, a ja dostaniesz u nas — tłumaczyli zapłakanej córce, gdy listonosz przyniósł list z Poznania. — Za rok znowu poprobuje. O, Zbycho też nie zdał, porobił w szpitalu i przyjeżdża, niedługo będzie lekarzem. — Codziennie o szóstej Stanisława wsiadała do autobusu, do trzeciej księgowała w banku, a później popołudniem wracała

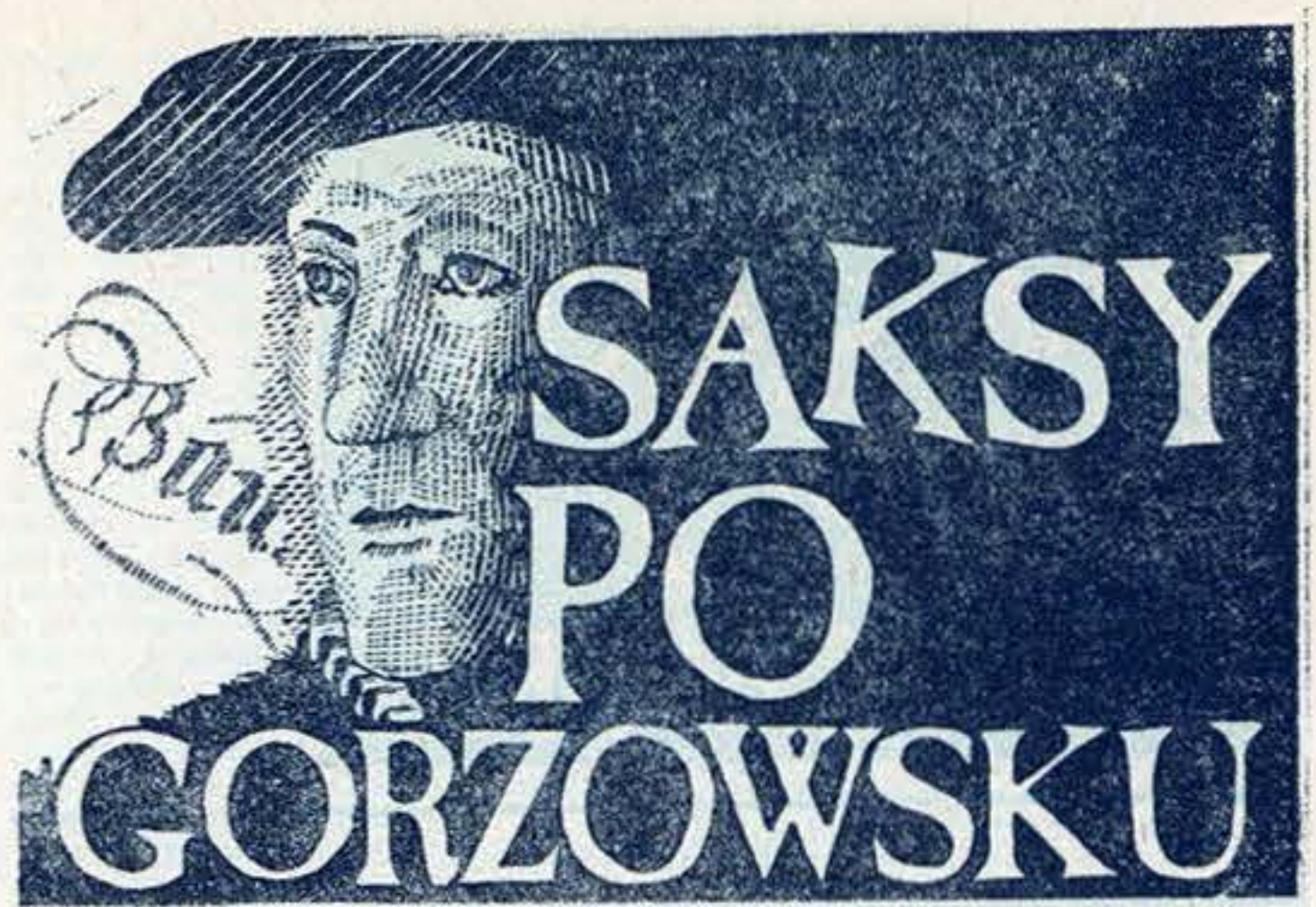
do domu. Szybko znudziło się jej to dojeżdżanie do pracy, tym bardziej, że już miała narzeczonego, który pracował w Urzędzie Gminy. Po ślubie miała do wyboru: albo dalej ścieńczyć nad kolumnami cyfr w banku, albo siedzieć w domu teściów i czekać na męża. Ku jej zadowoleniu dyrektor szkoły przeznosił się w Poznańskie a wraz z nim odeszła księgowa w Urzędzie Gminy. Zenon Łapkowski podpowiedział naczelnikowi, by daleko nie szukał nowej księgowej, skoro Stanisława, z praktyką bankową, znajomościami i właściwym wykształceniem, jest bez pracy. — Co dwie osoby z jednego domu, to nie jedna — dodał nie bez racji. Naczelnik uciekł się, dając temu wyraz w postaci przydziału domu niczyjego, czyli nieruchomości Państwowego Funduszu Ziemi, jakich w gminie było kilka. Dom po Pawluczakach, oblażył z tyńku, z wałami się konimem, wypaczonymi drzwiami i oknami, dawno opuszczony, nie wabił nikogo. Łapkowscy też nie — bardzo byli chętni do zamieszkania w ruderze, ale wtedy naczelnik poradził, by remontowali na koszt państwa. Skoro dom jest własnością gminy, to i na koszt gminy można go wyremontować. Skąd wziąć pieniądze na remont, o to niech się martwi główna księgowa, czyli Stanisława Łapkowska. W jednym miesiącu można przestawić piec, w drugim wymienić okna, a w przyszłości otynkować, ogrodzić siatką czy sztachetami.

Nim naczelnik zdążył podpisać formalną decyzję, już stolarz wstawił nowe drzwi i ramy okienne, pociągnął je nie farbą na białe, lecz mahoniowym lakierem, i to dwa razy. Potem murarz trzy pokoje tak przegrodził, że z podwórza nie wchodziło się prosto do kuchni, ale najpierw do korytarza, stamtąd do sypialni, do salonu z telewizorem, pokoju dziecięcego. Na końcu korytarza miała być łazienka, ale póki hydraulik

nie doprowadził wody i nie zainstaluje hydroforu w piwnicy, pomieszczenie musi stać puste. O rury, kształtki, baterie już nie było latwo. Stanisława wiedziała o tym, toteż nagabywała majstrów, którzy remontowali budynek szkolny, by postarali się specjalnie dla niej zdobyć to, czego nie ma w sklepach. — Dla pani księgowej zrobi się — odpowiadali przyniósł i doradzali, by kazała zlikwidować piec, a na ich miejsce wstawić grzejniki centralnego ogrzewania, konieczne żelazne. W piwnicy stanął piec grzewczy, gorąca woda w rurach ogrzewała pokoje i korytarz, pani Stanisława mogła się plukać w wanie, ile chciała. — Gdybyśmy jeszcze wymienili podłogę — żartował Zenon — byłoby jak u ogrodnika. Ale na to nie zgodził się naczelnik, który już pluł sobie w brodę, że taki dom dostał się nie jemu, lecz głównej księgowej. Okazało się bowiem, że Urząd Gminy na remont domu Łapkowskich wydał już 163 tysiące złotych. Niech wpadnie jakaś kontrola, kto się będzie tłumaczył? Główna księgowa? Gospodarkę gminy jest naczelnik. Naczelnik podpisywał zlecenia, rozliczał majstrów, więc i naczelnika wojewódzcy inspektorzy wezmą w obroty. A niech się wyda, że te pieniądze pochodzą z funduszy oświaty?

Zenon Łapkowski kończył urzędowanie za biurkiem, wsiadał na komara i jechał do swoich rodziców, którzy gospodarowali w sąsiedniej wsi. Wiosna — jesień pomagał im w polu, doradzał, gdzie co posiać, a jeśli był potrzebny nawóz czy węgiel, załatwiał to w geście od ręki. — Jeszcze trochę gospodarujemy, kupimy z twoją pomocą dwa trak-tory, kombajn, a potem wszystko przepisemy na ciebie. Kusiak zdążył gospodarstwo na syna, dostał rentę i jak żyje! A Wilczewskiego Tadeusza nie wrócił z Gorzowa, chociaż był tam, ho, ho, referentem. — Zenon nawet nie próbował tłumaczyć rodzicom, że przepisy zabraniają, by syn nie posiadający formalnych kwalifikacji rolniczych został następcą na ojcowiznie. Dopiero wieczorami, gdy zmęczony wracał do swojego domu, radził się żony, co zrobić, by tamta urodziła ziemią i porządne budynki przypadły jemu. Rodzice, póki mogą, są zdrowi, niech gospodarują, przy jego pomocy kupią i ciągniki, i kombajn, ale kiedyś nastanie ten dzień, gdy ojciec stwierdzi, że nie ma już siły orać, siał, karmić. Do domu starców nie pójdą, nie zgodzą się, zresztą byłby wstyd, gdyby tacy gospodarze dożywali między obcymi i opuszczonymi. A i szkoda przekazać takie gospodarstwo w cudze ręce. — Studiować? — zastanawiał się. — Nie poradzę. Ledwie ukończyłem zao-cny ogólniak. Musiałem przestać pomagać rodzicom. Wtedy gospodarstwo zapisał bratu, on tylko czeka na to, no i ma kwalifikacje. Może naczelnik... — oczy zabłysły mu chytrze. — Dowie się kto, że nie mam papierów?

Ciąg dalszy na str. 5



Andrzej Włodarczak

Marzeniem wielu gorzowian jest praca za granicą. Niekoniecznie gdzieś tam daleko, u kapitalistów. Również po sąsiedzku, za naszą zachodnią granicą, kilkadziesiąt kilometrów od domu. W NRD.

RUCH PRZYGRANICZNY

Okolo tysiąca gorzowian pracuje w kilkunastu zakładach okręgu frankfurckiego. Najwięcej, bo ponad 500, w „Półprzewodnikach”. Reszta w różnych zakładach przemysłowych, budowlanych, rolnych i w gastronomii. To właśnie we Frankfurcie czynna jest, jedyna w NRD, prowadzona przez polski personel i serwująca tylko polskie potrawy restauracja „Polonia”.

Gorzowianie pracują w NRD od marca 1967 roku w ramach tzw. ruchu przygranicznego. Wtedy to w wyniku porozumienia rządów Polski i NRD wybudowano we Frankfurcie nad Odrą Zakłady Półprzewodników. Umowa międzyrządowa stanowiła m.in. iż w przedsiębiorstwie tym pracować będą również Polacy z rejonów przygranicznych. Sens jej zawarcia wynikał właśnie z występowania u nas sporych nadwyżek siły roboczej. NRD odczuwała zaś jej niedostatek.

Większość zatrudnionych w ramach ruchu przygranicznego codziennie przekracza granicę. Ci z „Półprzewodników” dowożeni są ze Ślubie autokarem. Reszta przekracza pieszo most na Odrze. Na granicy okazują muszą trzy dokumenty: paszport służbowy, zezwolenie na pracę wydane przez Wydział Zatrudnienia Urzędu Wojewódzkiego i przepustkę niemieckiego zakładu. Pracują najczęściej na stanowiskach robotniczych. Zarabiają w granicach od 600 do 900 marek miesięcznie.

PLANOWA POLITYKA

Henryk Rusak, dyrektor Wydziału Zatrudnienia Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie: — Chciałbym wyraźnie zaznaczyć, że polityka zatrudnienia Polaków w NRD prowadzona jest w sposób planowy i przemysłowy. Chodzi tu o zagospodarowanie nadwyżek siły roboczej występujących w pewnych rejonach województwa. Większość zatrudnionych po drugiej stronie Odry mieszka w Ślubicach. Ale zakłady tego miasta coraz bardziej odczuwają niedobór rąk do pracy. Dlatego też w NRD pracują również niektórzy mieszkańcy Dobiegniewa, Strzelec, Choszczyna, Rzepina i Sulęcina, a nawet zielonogórskiej Cybinki. Ci ostatni mieszkają w hotelu we Frankfurcie. Nie przekraczają więc codziennie granicy.

Chętnych do pracy w NRD oczywiście nie brakuje. Kwalifikuje ich trzyosobowa komisja przy naszym wydziale. Istnieją jasno określone kryteria naboru. Szans na podjęcie pracy po drugiej stronie Odry nie mają więc osoby z wyższym wykształceniem oraz fachowcy deficytowych w regionie branż, jak np. mechanicy czy budowlani. A ponadto pracownicy znaczących w województwie zakładów. Posiadają je natomiast ludzie, w różnym zresztą wieku, ale bez kwalifikacji zawodowych. Chodzi o to, by w NRD mogli zdobyć kwalifikacje i po powrocie wykorzystać w kraju.

Oczywiście nie każdy, kto spełnia te warunki, może podjąć pracę w NRD. W Gorzowie odczuwa się przecież niedobór rąk do pracy. Dlatego właśnie od paru lat ogranicza się zatrudnienie w NRD. W pierwszej kolejności wycofuje my Polaków z zakładów, gdzie płace są niskie, a warunki pracy uciążliwe.

OPLACA SIĘ DOBRZE PRACOWAĆ

Antoni K., nauczyciel zawodu w jednej z frankfurckich fabryk: — Tylko zatrudnieni w systemie trzytygodniowym pracują tygodniowo po 40 godzin. Pozostali — dłużej. W Polsce chwali się wolne soboty u naszych sąsiadów z Odry. Ze niby nawet do południa wszystkie sklepy są czynne. To prawda. Trzeba jednak pamiętać, że są one odpracowywane w ciągu tygodnia. W zakładzie przebywa się każdego dnia 9 godzin i 30 minut. Po odjeździe przerwy na śniadanie i obiad, które nie są opłacane, pracuje się 8 godzin i 45 minut. W NRD system wynagradzania jest tak skonstruowany, że nie opłaca się źle pracować. Można nieźle zarobić, ale tylko za solidną robotę. Np. ja otrzymuję pensję podstawową i premię uznaniową. Ta ostatnia przyznawana jest tylko wówczas, gdy spełnię wszystkie wymagane określone w 10 punktowej klasyfikacji. Jeśli dostanę choć jeden punkt mniej — tracę 130 marek premii. Tylko połowę tej kwoty otrzymuję, jeśli w miesiącu przebywam na chorobowym lub urlopie.

W MIASTECZKU M.

Siedzimy w czteroosobowym pokoiku hotelowym. Jego wyposażenie — przyzwyczajony do niego. Nawet lodówka i radio. Teresa opowiada, koleżanki zgodnie przytakuja.

Pracę w NRD załatwiły sobie w wydziale zatrudnienia. Formalności nie trwały zbyt długo. Do tej pory nigdy nie wyjeżdżały za granicę. Okazało się, że nie jest tu tak źle, jak niektórzy straszili przed wyjazdem. W ciągu tych kilkunastu miesięcy nauczyły się już trochę niemieckiego. A najważniejsze, że sklepy są tu pełne towaru i nie ma kolejek jak w Polsce. Podobno przed paru laty, powiada starsze stażem koleżanki, zaopatrzenie było jeszcze lepsze.

Praca? Jak to praca. Pochodzą ze wsi, więc szybko przyzwyczały się do fizycznego wysiłku. W kraju rodzin nie zostawiły. Wszystkie są wolne, panny. Mają problemy z czasem wolnym. No bo co robić po pracy? Gdzie pójść i z kim?

— To jest właściwie duża wieś — mówi Teresa — Jedna restauracja, właściwie piwiarnia, czasem dyskoteka w domu kultury. Na dyskotekę raczej nie chodzą. Bo jesteśmy na to za stare. Przedem do Frankfurta się podskoczyć. Tam jest gdzie poszaleć. Ale mężczyźni mało, bo Frankfurt to miasto kobiet. Miejsce nie lubią nas. Boją się, że lecimy na ich mężów, czy — jak one to mówią — przyjać. Tu pełno panien z dziećmi i takich, co żyją z facetami bez ślubu. Nie to co u nas. A my? Święte nie jesteśmy. Ale to raczej Niemcy na nas leżą. Podobamy się im. — Nasz stosunek do tutejszych mężczyzn? — zastanawia się głośno Iwona — Na bezrybiu i rak ryba. Auswajstów im nie sprawdzamy. Wiadomo, który żonaty? Jak mi się jakiś podoba, to po co szukać dziury w całym... Przecież każda z nas szuka tutaj jakiegoś odmiany w życiu. Nie, wyjść za mąż tutaj nie chciałabym. Nie zostalabym też tutaj na stałe. Nie ma to jak w Polsce. Ale pożyć można sobie tych parę lat. W końcu nie samą pracą człowiek żyje. Za parę lat może na mnie żaden chłop nie spojrzeć. Po co więc sobie żałować...

Przyjechały tu jednak głównie po to, by zarobić i dorobić się. Prawda, same dostrzegają, że ich zarobki w markach nie są rewelacyjne. Nieraz biorą 600—650 marek.

— Ja tam nie narzekam — zwierza się Aldona — Prawie co tydzień jadę do domu, do Polski. Tutaj kupię co nieco, wezmę do domu i tam rodzice mi sprzedadzą. Z kraju też można trochę przywieźć i Niemcom korzystnie sprzedać. Co? Przede wszystkim kosmetyki, sztuczną biżuterię i ciuchy z butików. Niemki same zamawiają towar. Dobrze płacą. No i wozimy. W ten sposób uzyskujemy świetne „przebiecie”. W ciągu miesiąca można wyciągnąć nawet 100 tysięcy na czysto. W kraju nigdzie bym tego nie zarobiła, prawda?

— Za bluzkę, która u nas w butikach kosztuje 3 tysiące, tutaj biorę 100 marek — zdradza tajemnicę handlu Wanda. — Mam więc markę po 30 złotych, taniej niż w banku. Później za te 100 marek kupuję prawie 1,5 kg kawy, 100 czekoladek po

Ciąg dalszy na str. 4

Mieczysław J. Warszawski

Tym, którym jestem cokolwiek winien

Benedyktowi Bonaszewskowi

Jeśli zechcecie mnie zastać w domu, moi dawno nie widziani przyjaciele, w końcu spotkacie mnie naprawdę.

I na nie się zdadzą moje zaklinania, że żadnego śladu po sobie nie zostawię.

Nie znam nawet samego siebie, więc cóż innego mogę wam poradzić niż to, iż także powinniście poznać brudne wybiegi na co dzień.

Być może wówczas zaprzędam się wam albo wystawię na licytację.

Mogłoby się wydawać, że nieuchwytnym jestem, który się przechadza nigdzie nie meldowany.

Już niegdyś doświadczyłem jak zmieniać adresy, nazwisko, wyraz twarzy, itd.

Wciąż jak zawsze unikam wszelkich poręczycei, wierzycieli i wyprowadzanych do nie odnalezienia kobiet.

Jednakże ten i ów czasami wcześniej mnie się pozbył, nie obdarzając niczym.

Przemykają zapomnieni, nie do rozpoznania i, wbrew co myślę, nie szukam ich na listach zagubionych.

Wiadomo, że nie nikomu nie jest darowani wybaczone.

Dlatego nie wiem jak przeż wami wszystkimi stanąć twarzą w twarz.

Ci, którzy pozbyli się mnie w moim przekonaniu są najbardziej sprawiedliwi.

Chciałbym także być ludzkim, otwierać drzwi światła na oścież, czekać aż przyjdziecie lub nie przyjdziecie.

Jawię się wam zewsząd pod baczny okiem administracji.

Przy udziale waszego współuczestnictwa jestem pewien, że jeszcze dotąd istnieje.

Przeżo zastajecie mnie wszędzie, nigdzie.



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ

(Ciąg dalszy ze str. 3)

WSZYSTKO MOŻNA PRZENIEŚĆ

TEŻ ROBIĘ INTERESY

PRZEMYTNIICY

KONIEC SNÓW O MILIONACH

PRZYPADEK ELŻBIETY K.

HISTORIA EWY M.

„SIÓDEMKA”

ANDRZEJ WŁODARCZAK

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Rys. LESZEK HERMANOWICZ

HALINA AŃSKA



Małżeństwo Kornelii i Lecha W. z podgubińskiej wsi

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

— Na początku grudnia 1986 r. około godziny 10 przyszedł do mego mieszkania mężczyzna, który zaproponował wykonanie portretu ze zdjęć ślubnych. Zgodziłem się na jego ofertę i ustaliliśmy, że wykona dwa portrety ślubne — jeden dla mnie, drugi dla sżwagierki. Następnie mężczyzna ten przy mnie wystawił pokwitowanie i powiedział, że koszt zrobienia jednego portretu wynosi 6.500 zł. Zażądał ode mnie 11.600 zł na poczet zaliczki za dwa obrazy. Zapytałem, dlaczego tak drogo. Odpowiedział, że pobiera 80 proc. ceny. Poprosiłem go o okazanie dowodu osobistego i po sprawdzeniu stwierdziłem, że nazwisko i adres w dowodzie i na pokwitowaniu są takie same. Termin wykonania był wyznaczony za dwa miesiące. Odprowadzając tego mężczyznę do wyjścia, zobaczyłem, że czeka na niego taxi, biały fiat 125 z Jasienia. Do dnia dzisiejszego nie otrzymałem ani portretu, ani zwrotu pieniędzy. Nie widziałem więcej tego mężczyzny.

Pan K., który tak zrelacjonował swoje spotkanie z agentem portretowym, był jedną z pierwszych ofiar oszusta grasującego na przełomie lat 1986 i 1987 w okolicy Zar.

Portreciarz przyjeżdżał do wybranych wsi taksówką. Najczęściej białym fiatem, ale także kakaowym mercedesem albo szarym polonezem. Pytał napotkanych ludzi o domy, w których niedawno odbyły się śluby. Odwiedzał wskazane osoby, proponując wykonanie portretów ślubnych ze zdjęć. Brał zaliczkę, z reguły 5.600 zł, czyli 80 proc. ceny. Jeśli klient nie miał żądanej sumy, zadawał się niższą zaliczką — 1.000, 2.000 zł. Na życzenie przyjmował też zamówienia na portrety pojedynczych osób. Taka przynajmniej kosztowała 4.800 zł. Po zapłaceniu zaliczki klient otrzymywał pokwitowanie z pieczątką: „Agent

Portret ślubny na zamówienie

portretowy, imię, nazwisko, miejscowość, ulica”. Wszystko było prawdziwe, tyle tylko, że nieaktualne. Zleceniodawcy portretów po upływie terminu pisali na adres wskazany na pieczęcie. Otrzymywali zwrot listu z adnotacją, że adresat już od dawna tam nie mieszka.

Wiosną 1987 r. kilka oszukanych osób zgłosiło się w Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Zarach. Rozpoczęły się poszukiwania. Wówczas organa ścigania nie przeczuwały jeszcze, jak żmudna będzie to praca. Zakładano, że zgłosili się tylko niektórzy, ci bardziej niecierpliwi, i że lista nabranych przez portreciarza jest dłuższa. Istotnie. Wiele osób liczyło na to, że pan od portretów pojawi się wreszcie w ich wsi z gotowymi pracami. Byli i tacy, którzy już dawno przestali się ludzi, że ich ślubny portret zawieszono nad małżeńskim łóżem, ale wstydziło się swej łatwości.

W czerwcu 1987 r. w „Gazecie Lubuskiej” ukazał się komunikat w sprawie poszukiwanego, bo agent ulotnił się z naszego terenu. I wtedy nastąpiła lawina zgłoszeń do żarskiej milicji. Portreciarz wykiwał 64 osoby, wyludzając od nich 312 tys. zł za pracę, której nigdy nie miał zamiaru wykonać.

Zeznania oszukanych wypełniają dwa grube tomy akt. Większość w zasadzie nie mogła mieć podejrzenia, że są nabijani w butelkę. Agent bu-

dził zaufanie. Przyjeżdżał taksówką, był uprzejmy, schludnie ubrany, papiery miał w porządku. Tylko nielicznych dziwił fakt, że firma pobiera z góry prawie całą kwotę za niewykonalne jeszcze dzieło. Ale i w tych sytuacjach agent umiał znaleźć argumenty, które trafiały do naiwników.

— Zgodziłem się na zamówienie portretu dla córki i zięcia, ale nie chciałem dać zaliczki 5.600 zł. Uważałem, że 1000 zł wystarczy. On żądał swojej sumy. Poprosiłem o zwrot zaliczki. Zostawił pokwitowanie na 5.600 zł i wyszedł. Potem dowiedziałem się, że pojechał do matki mojego zięcia, okłamał ją, mówiąc, że zacięła się u mnie szufladą i proszę, by włożyła pieniądze na portret dla naszych dzieci. Matka zięcia uwierzyła, zapłaciła.

— Nie miałam powodów, by coś podejrzewać. Był dobrze zbudowany, elegancki, grzecznie się wyrażał, zarabował. Miał przy sobie dużo zamówień i zdjęć. Oświadczył, że jak portret nie wyjdzie, on poniesie koszt.

Ta sama osoba stwierdza dalej: — Dano się założyć, że był zdenerwowany, bo jak palił papierosa, to cały się trząsł.

Kolejną ofiarą naciągacza rozbrajał, mówiąc, że to jego naiwność. — Dowodu nie sprawdziłem, gdyż agent powiedział mi, że tego dnia był trzy razy kontrolowany przez milicję i to wzbudziło moje zaufanie.

Portreciarz umiał doskonale wyko-

rzystać chwilowe wahanie klienta. — Namawiał mnie na portret, nie chciałem decydować bez męża. Zapytał, gdzie jest mój mąż. Podałam adres. Pojechał tam. Wrócił po zdjęcie, gdy mąż zgodził się na portret i nawet dał już zaliczkę. Kiedy spotkałam się z mężem, okazało się, że agent wprowadził męża w błąd, informując go, że to ja chcę mieć portret.

Wśród poszkodowanych są wspólni znajomi, sąsiedzi, całe rodziny. Zdarzało się, że agent wychodził z jednego domu z trzema zamówieniami, bo akurat u klienta była babcia, sżwagierka, sąsiadka. Wtedy nie ukrywał zadowolenia, obiecując, że zamówienie wykona ekstra na Boże Narodzenie na przykład, choć do świąt było już bardzo mało czasu. Tylko raz pojawił się w jednym z mieszkań ponownie, przepaszając, że nie dotrzymał terminu i wyznaczył następną datę dostarczenia portretu.

Jeden z taksówkarzy miał okazję obserwować, jak „pracuje” agent. — Jeździłem z nim po wsiach przed Bożym Narodzeniem. Chyba miał mało zamówień, bo bliźnił na kobiety. Opowiadał, że w rejonie Sulechowa załatwił już wszystkie wieś. Zgłosiłem tę sprawę milicji, bo wywnioskowałem, że robi tylko zamówienia, a żadnych obrazów nie maluje.

W czasie kursu ze mną przyjął około 50 zamówień. Kupował w kiosku zeszyty, stemplował imienną pieczątką kartki. Zawsze przygotowywał dwa egzemplarze pokwitowania. Odwiedzał domy, w których w ostatnim czasie były wesela.

Latem 1987 roku po zgromadzeniu kilkudziesięciu zeznań oszukanych osób organa ścigania postanowiły zawiesić dochodzenie z powodu niemożności ustalenia miejsca pobytu podejrzanego.

We wrześniu prokuratura żarska dowiaduje się, że agent przebywa w

areszcie śledczym w Suwałkach. Jego podróże po kraju zakończyły się w Pińskowie, gdzie zatrzymała go milicja. Okazało się, że oszust był już karany za podobne przestępstwa przez sądy w Giżycku, Wałczu, Goścyniu. Był poszukiwany przez organa sprawiedliwości w Rzeszowie, Jasle, Braniewie, Hajnowce i Zielonej Górze. Przestępstw na terenie żarskim dopuścił się w stanie recydywy, w okresie przerwy w odsiadce 5-letniego wyroku. Ostatnią karę więzienia otrzymał za to, że w roku 1984 zaledwie w ciągu trzech miesięcy w Jasle i innych miejscowościach województwa króśnieńskiego, rzeszowskiego i tarnowskiego wyludził od kilkudziesięciu osób kwoty od 800 do 5000 zł.

W 1980 r. oszust był skazany na rok więzienia za przyjmowanie w województwach leszczyńskim i kaliskim fikcyjnych zamówień na portrety ślubne oraz obrazy z widokami.

W 1982 r. sąd w Wałczu skazał go na 5 lat pozbawienia wolności, 200 tys. zł grzywny za to, że w województwach pińskim, bydgoskim, gdańskim, koszalińskim, szczecińskim, leszczyńskim, toruńskim oszukał 552 osoby, podając się za właściciela warsztatu ręcznego malowania na tkaninach i wyludził w ten sposób ponad milion złotych.

Podczas przesłuchania podejrzany podał, że ma średnie wykształcenie, jest plastykiem, nigdzie nie pracuje, choruje. Przyznał się, że odwiedził wszystkie wymienione osoby i pobrał zaliczki, stemplując pokwitowania pieczątką, która utraciła ważność.

Tym razem o winie i karze oszusta grasującego od kilku lat po całym kraju zadecyduje sąd w Zarach.

LUCYNA GRABOWSKA

BUTÓW PAN Z POLSKĄ NIE MIESZAJ

Dworzec ZOO w Berlinie Zachodnim. Krzyk i nerwowa szarpanina z bagażami czyli wsiadanie do pociągu tłum ludzi. Tomek sprytnie przepycha się i jeszcze tylko woła do Jarka: — Gdzie leżysz z tym wózekiem, wsiadaj!

I już, mimo tłoku, swobodniej: uśmiechy, życzliwość, czasem częstowanie laskociami, ochocze rozmowy, nawiązywanie znajomości. Nic dziwnego, gdy bagaże pełne „zagranicy”, dusze pełne wrażeń z pobytu w tym samym mieście i perspektywa tylko paru godzin wspólnej podróży. A więc wszyscy są równi. No, może tylko mniej lub bardziej doświadczeni. Tomek już je ma, wie, jak to się robi:

— idziesz Kudamm aż do „Panoptikum”, zobaczysz to z daleka — tłumaczy Jarkowi głośno, — potem w lewo i to jest drugi dom. Na dole zadzwoni dwa razy i dobrze wytrzyj buty, bo sprawdzi cholera. A jeśli tyś otworzy, to nie przyskaj, on ma doć do bauera. Powiesz tylko, żeś ode mnie, kapewu? — spogląda na Jarka. — Co się łamiesz, pacanie, chcesz tu gnić w wariackich papierkach za darmo? Masz, napij się... W ciągu miesiąca podszkole się w języku i dasz sobie radę. Marlboro?... Ouu, to zaoszczędzisz bracie, sporo waluty. A jeśli u Grety nie wyjdzie, to próbuj arbahtu przez ancajen.

— Przez co? — „Anzeigen”, ogłoszenia, sierota angielska. Oni mają specjalną gazetę na drobne ogłoszenia, bardzo rozchwytywaną.

Chwilę szuka w torbie: — To się na zrywa „Zweite Hand”. Dwie marki cholera, ale wszystkie tu masz, chyba z osiemset ogłoszeń, różne nacje, nawet

Polaków ze trzydziestu, oczywiście mieszkających w Berlinie; z różnych stron świata, w najdziwniejszych sprawach. Przykładowo jakiś Jim Rockford — Ce bulowiec, tak się z kimś umawia, słuchaj, przetłumaczę ci. „Cebula aktualna. Zapach cebulowy otoczy cię podczas spaceru w świetle księżycy, komary zostawią cię w spokoju”. Rozumiesz coś? A tu masz jedyne ogłoszenie po polsku. Podaje gazetę Jarkowi, śmiejąc się.

— „Szukam dziewczyny, kobiety, która czuje się tak samotna jak ja. Jestem mężczyzna 32 lata, wzrost 182 cm, włosy blond i ponoc niebieskie oczy.” Alle numer!! Chrzaszcz brzmi w trzcinie, co? hih. Nie może sobie sam znaleźć?

— Czort wie co za jeden. — Ale tu ogłoszeń o samochodach, jasny gwint, przetłumacz mi trochę, co? — prosi Tomka.

— Pszczółko, przecie arbahtu szukasz! Leć dalej, o tu. Najwięcej „Putzfrau, Haushaltliche und andere” czyli inne — to mogą ci przetłumaczyć: „Solidna Polka szuka pracy jako sprzątaczkę, do dzieci lub zakupów”. „Polka podejmie każdą pracę”, „Godna zaufania Polka szuka pracy w hotelu, gastronomii”, „Starza Polka szuka posady jako pomoc do mowa lub do małego dziecka”, „29 letni Polak szuka pracy jako malarz, taping”, „Dobry murarz z Polski szuka pil-

nie stałej pracy”. Ale się reklamują, nie? Jedźmy dalej: „Dwóch Polaków szuka posady jako dekarze”, „Młoda Polka szuka pracy jako sprzątaczkę. Zaden seks!”, „Polak, 7 lat w Berlinie, szuka stałej pracy”, „Polak z zezwoleniem na pracę szuka posady jako pomocnik budowlany i”...

— A pozwolenie skąd? — Donnerwetter! Ty będziesz „Gastarbeiter”, rozumiesz, gościnie, kapito? „2 Polki szukają pracy jako pomoce domowe lub kucharki”, „3 polskie dziewczyny szukają pracy, sprzątanie lub inne. Zaden seks”, „Polka...”

— Czemu „Zaden seks”?

— I ty zaliczyłeś psychologię na pięć Eeee — wąpli Tomek

— Nie kpij. Dziwi się, bo u nas tak nie piszą.

— Bo u nas nie ma też takich ogłoszeń. „Uważajcie wszystkie kobiety! Nie chodźcie same na spotkania w sprawie pracy, mieszkań etc. Podczas nich ciągle dochodzi do przymuszania do seksu i gwałtów! Spotykajcie się najlepiej w neutralnym miejscu.” — zerka na Jarka

spode iza. — Kochany, jak widzisz, to nie twój Wóchock, a zwykłe życie. Zresztą, ta gazeta nie zastrzega sobie, że nie odpowiadała za treść ogłoszeń, i ludzi ska się bawia. Korespondują sobie, polemizują w dwóch zdaniach, nawet dow-

cipasy drukują za własną forszę. Przykładowo: „Pytanie do radia Eriwa: Czy podczas seksu muszą rozmawiać z moim mężczyzną? W zasadzie tak, ale tylko wtedy, gdy telefon stoi bezpośrednio obok łóżka.” I dopisek kogoś, kto przyjął ogłoszenie: „Ha, ha, uśmiechaliśmy się.” Wyobrażasz sobie coś takiego u nas? Szkoda forsy. Poza tym — czyta dalej:

— „Belgijski men, 38, bezrobotny, szuka przystani na miesiąc przy młodej nieżamej panii 20-30 do igraszek miłosnych”, a 2 Boys, 26 lat — 2 dziewczyn do 175 cm, „w celach seksualnych”. Fajne, co? Więc widzisz, jak masz forszę, to masz każde cimi-cimi. Na początek trochę poharujesz, potem choćby z ogłoszenia coś na garb, co do chałupy, jakas Toyota... Patrz — taka szafa, też po trzebna, nie? Chęć 130 marek, jak za darmo.

— 130 razy... Ty! 65 tysięcy to darmo?

— Stary, nie przeliczaj. Wątroba ci na wali jak pokupujesz, że kilo chlebka wsuwasz za nasze dwa „koperniki”. A taka zapalczka — demonstrowa — u nas trzy tysiące. Skąd mam? Powiedzmy że widziałem w shopie. Tam bracie oczy i uszy to twoje okno na świat. Wiesz chociaż, że w Karstadt była przecena? Co tam się działo, widziałeś w telewizji?

— Mhm, ale ciebie nie było.

— Byłem, przecież mi guziki pourywa li. Chwyciłem w garść parę lepszych la chów i już mam zysk. — Tomek cwanacko pociąga nosem. — A ty, co masz z łazienka po muzeach, wiesz chociaż jed na ramię?... Normaalne, ach ty! A w Karstadt widziałem podkoszulki „ku na mięci” ładowania Rusta w Moskwie. Co

tyko przepisami i nawet synowa nie może naruszyć prawa.

— * —

Przed naczelnikiem jako dziennikarz nie miałem żadnych tajemnic, on też nie wiedział mi tyle, ile zasłyszysz. Decyzji w sprawie Łapkovskiej nie wydawał, więc nie boi się nawet prokuratora. Poradził, abym pojechał do poprzedniego naczelnika, może coś pamięta. Stanałem przed Urzędem Gminy i się zastanawiałem, kogo jeszcze odwiedzić, by uzupełnić to, co już wiem. Droga idzie Krysiakowa, pyta z daleka:

— Będziemy sąsiadami?

Powiedziałbym prawdę, gdyby z urzędu nie wyszła Łapkovska.

— Pan nie ma innego zajęcia? Kto pana napuścił? Musi pan zajmować się moimi sprawami? — spytała wyraźnie oburzona. — Ja niczego nie ukradłam. Zresztą na wszystko mam papiery.

— Kupiec? — zagadnęła ją Krysiakowa.

Łapkovska zmierzyla mnie wzgardliwie i odeszła.

— Myśli, że nie wiem, że ona chce sprzedać państwo dom? — roześmiała się Krysiakowa. — Milionerka!

PIOTR GIERMEK

MILIONERKA

Ciąg dalszy ze str. 3

Studenką została jednak Stanisława. Zdała szczęśliwie egzamin wstępny, zaliczyła pierwszy semestr, z jednym egzaminem poprawkowym drugi, trzeci i czwarty nie sprawiły jej żadnego problemu. Było już pewne, że główna księgową zostanie inżynierem rolnikiem, z czego najbardziej się cieszył naczelnik, także inżynier. Pracownicy Urzędu Gminy podnoszą swoje kwalifikacje, po chwalili się wojewodzie. Naczelnik poczuł się jeszcze pewniej, gdy w pokoju głównej księgowy zobaczył plakat „Wiedza — kwalifikacje — postęp”. A gdy Stanisława Łapkovska przywiozła z Toporowa dyplom inżynierski oprawiony w brązową skórę, pierwszy złożył jej gratulacje i niebawem wystąpił o podwyżkę miesięcznej pensji. — W razie czego wychowałem nowego naczelnika — mówił do niej zadowolony. Nie przyznał się nikomu, że ma dość kierowania gminą i niebawem zostanie wicedyrektorem kombinatu rolnego.

Podczas uroczystości, którą Łapkovska urządziła z okazji ukończenia studiów, pół żartem, pół serio spytała naczelnika, czy może kupić ten dom, w którym i tak mieszka. — Chcę mieć coś własnego — dodała. — Moglibyśmy wyremontować stodołę, oborę, hodować świnie — dorzucił Zenon Łapkovski.

Zaden przepis nie zabraniał inżynierowi rolnictwa prowadzić indywidualne gospodarstwo rolne, nawet jeśli inżynierem jest kobieta. Należało jednak wywieść w widocznym miejscu, najlepiej w Urzędzie Gminy, informację o tym, że gospodarstwo rolne będące własnością Państwowego Funduszu Ziemi, w skład którego wchodzi dom mieszkalny, stodoła i pomieszczenia inwentarskie, jest do natychmiastowego sprzedania. Niewiele by to zmieniło, gdyż Stanisława Łapkovska jako osoba posiadająca potwierdzone dyplomem szkoły wyższej kwalifikacje rolnicze, od lat mieszkająca w tym budynku, a także główna księgową Urzędu Gminy, może skorzystać z przywileju pierwokupu. Łapkovska szybko napisała podanie, naczelnik także pociągnął za decyzyjną, w której określił, że nabywca nieruchomości jest zobowiązany prowadzić specjalistyczne gospodarstwo produkcyjne. To wystarczało, by bank rolny przejął sprawę i oszacował wartość nieruchomości. Na jakiej podstawie ekspert bankowy określił, że gospodarstwo warte jest tylko 500 tysięcy złotych, trudno dziś dociec. W każdym razie wyszerecano w przepisach, że młoda rolniczka inżynier Stanisława Łapkovska powinna wpłacić do kasy bankowej jedynie połowę określonej przez eksperta sumy, to znaczy 250 tysięcy złotych za dom i zabudowania gospodarskie oraz 20 tysięcy złotych za kawałek ziemi przylegający do podwórza. Potem bank

te sumę obniżył jeszcze o połowę, gdyż Łapkovska nie zaciągnęła kredytu, a płaciła gotówką. W dokumentach oszacowano zużycie domu, stodoły i pomieszczeń inwentarskich na 80 procent, nie zważając na to, że dom był niedawno remontowany, i to na koszt Urzędu Gminy.

W umowie z naczelnikiem jasno sprecyzowano kierunek produkcji i czas, w jakim Łapkovska powinna osiągnąć spodziewane efekty. W kilka tygodni po tym fakcie naczelnik zwołał się, a jego następcą nie dobiegał, czy Łapkovska sama prowadzi gospodarstwo, czy też ziemię uprawia ktoś z sąsiadów. Nawet nie pomyślał, że poprzedni naczelnik określił, iż po pięciu latach od chwili nabycia gospodarstwa Łapkovska powinna osiągnąć w miarę wysokie wyniki produkcyjne. Z nowym naczelnikiem, który był jej kolegą z technikum, żyła po przyjacielsku i nie zamierzała rezygnować z pracy w Urzędzie Gminy. Zeby nikt z sąsiadów nie posądził jej o nadużywanie swojego stanowiska służbowego, zawarła umowę ze spółdzielnią, zobowiązując się do kontraktacji warzyw. Sprzedawała cebule, truskawki, porzeczki i śliwki, jednego roku nawet kwintal czosnku. Sąsiedzi, którzy nie prowadzili gospodarstw specjalistycznych, też sprzedawali warzywa, trochę do spółdzielni, resztę do kiosków prywatnych. W drugim roku gospodarowania Łapkovska sprzedała za niecałe sto tysięcy złotych, w trzecim już za blisko sto pięćdziesiąt, a w czwartym i piątym na jej konto w banku spółdzielni nie przelała ani złotówki, chociaż Zenon całe lato odwoził warzywa do magazynów spółdzielczych. Ale pomalowała plot, nawiozła ziemi do ogródka przed domem, posadziła piwnie, róże, astry. Sąsiedzi, gdy przechodzili drogą, kręcili głowami z zachwytem. — Taka rudera stała po Pawluczu-

JUBILEUSZ HISTORYKA

Wiesław Hładkiewicz

W tym roku wybitny historyk prof. Janusz Pajewski obchodzi swoje osiemdziesiąte urodziny. Urodził się 5 maja 1907 roku w Warszawie. Po latach napisał: „O atmosferze panującej w naszym domu muszę powiedzieć przede wszystkim to, że była patriotyczna, i to tym szczególnie patriotycznym 1863 roku, patriotyzmem po wstąpieniu”. Za swego prasnurka uznaje rotnistrza Walentego Pajewskiego, uczestnika bitwy pod Wiedniem.

Historię studiował na Uniwersytecie Warszawskim w latach 1924–1929 pod kierunkiem tej miary uczonych co Marceli Handelsman, Oskar Halecki i Wacław Tokarz. Dłuższe staże naukowe odbył wówczas w Budapeszcie i Wiedniu. Badał również archiwalia niemieckie i francuskie. We wspomnieniach pisze: „Praca w archiwum ma dla mnie zresztą szczególną powołanie i urok (...), biorąc do ręki pożytki ze starości papieru — to jakby bezpośrednio, fizycznie odczuwalne zetknięcie z minionym...”

W 1933 r. dr. Pajewski habilitował się w zakresie historii nowożytnej i podjął pracę dydaktyczną na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1937 r. wykładał historię w Wyższej Szkole Dziennikarskiej, a od 1938 r. w Szkole Nauk Politycznych w Warszawie. Pracę dydaktyczną łączył zawsze ściśle z badaniami naukowymi, dotyczącymi dziejów ojczyzny oraz historii powszechnej Europy.

Pierwsze publikacje późniejszego profesora dotyczyły kwestii zagrożenia tureckiego w XVI wieku oraz polityki południowo-wschodniej Polski w tym okresie. Napisał wówczas prace o sojuszu polsko-węgierskim, o polityce węgierskiej Zygmunta Starego, o stosunku Turcji do Polski. Największą z tego cyklu jest monografia pt. „Węgierska polityka Polski w połowie XVI wieku (1540–1571)” wydana w Krakowie w 1932. Do problemu tego nawiązał J. Pajewski w 1960 r. w książce pt. „Buńczuk i koncerz. Z dziejów wojen polsko-tureckich”. Właśnie historia Niemiec i stosunki polsko-niemieckie wysunęły się z czasem na plan pierwszy naukowych zainteresowań profesora.

W okresie II wojny światowej Janusz Pajewski związał się z tajnym nauczaniem i grupą historyków skupionych wokół Zygmunta Wojciechowskiego. Mimo uciążliwych warunków dnia codziennego kontynuował pracę naukową. Napisał wówczas monografię o sojuszu austriacko-niemieckim, dwa tomy „Historii Polski nowożytnej” oraz monografię Zygmunta Augusta. Niestety, prace te nie ukazały się drukiem, przypadły bezpowrotnie wraz z innymi notatkami profesora podczas powstania warszawskiego.

Po wojnie docent J. Pajewski wznowił zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim oraz podjął pracę w Szkole Głównej Handlowej i Szkole Nauk Politycznych. Od października 1945 roku pracował również w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na stanowisku wicedyrektora Biura do Spraw Repatriacji. Jesienią 1946 roku wyjechał do Poznania, gdzie podjął pracę na Uniwersytecie Poznańskim. Został też kierownikiem Studium Niemcoznawczego Instytutu Zachodniego.

W 1947 roku ukazała się pierwsza powojenna praca Pajewskiego „Niemcy w czasach nowożytnych 1517–1939”, którą wydał Instytut Zachodni. Była to pierwsza w Polsce syntetyczna historia krajów niemieckich. Autor skoncentrował w niej uwagę głównie na aspektach politycznych (rola dynastii Habsburgów i Hohenzollernów, ich walce o zjednoczenie Niemiec i ekspansję zewnętrzną).

Omawiając m.in. taktykę Bismarcka napisał: „Orężem niebezpiecznym w ręku nierozważnych, ale w jego zręcznej dłoni czarodziejskim i prawie pewnym była sprawa polska, która w jego arsenale politycznym zajmowała poczesne miejsce, którą chętnie a zawsze perfidnie się posługiwał. Myśląc o Polsce, zamierzając się posługiwać Polakami, Bismarck miał stałe uczucie igrania z ogniem”.

Również w 1947 r. wspólnie z Włodzimierzem Głowackim opublikował pracę popularno-naukową „Analizę rewizjonizmu niemieckiego”. Do wodził w niej dobitnie, że niemiecką racją stanu jest imperializm. Przez określenie to rozumiał wówczas dążenie do ekspansji i zaborów. Domażał się wówczas reedukacji całego narodu niemieckiego. Pisał m.in.: „Naród niemiecki musi w ciągu długich, bardzo długich lat przejść proces całkowitej reedukacji. Póki nie będzie miał on pełnego zrozumienia popelnionej względem świata winy...”

W 1959 r. ukazała się kolejna praca J. Pajewskiego pt. „Mitteleuropa. Studia z dziejów imperializmu niemieckiego w dobie pierwszej wojny światowej”. W przedmowie autor napisał m.in.: „Na kartach tej pracy nie brak cierpkich uwag o niemieckich rządach czy stronniczości, jak również o różnych osobowościach działających w Niemczech. Uwagi te żądną miarą nie są skierowane przeciwko narodowi niemieckiemu, lecz wyrażają przeciwko niemieckiemu imperializmowi...”

Z pozostałych wybitnych prac profesora wymienić należy m.in. „Wokół sprawy polskiej. Paryż-Lozanna-Londyn. 1914–1918” (1969), „Historia powszechna 1871–1918” (1967), „Odbudowa państwa polskiego 1914–1918”



Prof. Janusz Pajewski (siedzi trzeci od lewej) w gronie zielonogórskich naukowców podczas spotkania w LTN w maju ubiegłego roku. Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

(1980). Pod jego redakcją przygotowano dwie ważne publikacje Instytutu Zachodniego „Dzieje Hakaty” (1966) i „Problem polsko-niemiecki w traktacie wersalskim” (1969). Jest on również autorem kilku rozdziałów III tomu „Historii Polski”, sygnowanej przez PAN.

Z okazji 70 rocznicy urodzin J. Pajewskiego jego uczniowie i współpracownicy złożyli mu tom rozpraw pt. „Polska-Niemcy-Europa. Studia z dziejów myśli politycznej i stosunków międzynarodowych”. Antoni Czubiński, redaktor tomu i autor szkicu o naukowym i dydaktycznym dorobku jubilatę stwierdził, iż „Pajewski uczył swych wychowanków, że właściwe zrozumienie ważkich wydarzeń historycznych możliwe jest tylko przy dobrej znajomości źródeł i ducha epoki w oparciu o szerokie badania porównawcze”.

Z wielką radością i satysfakcją piszę o profesorze Januszu Pajewskim. Po raz pierwszy spotkałem go w 1968 roku, kiedy to podjąłem studia historyczne na UAM w Poznaniu. Jego wykłady należały do szczególnych. Trudno było je opuścić. A potem przyszły liczne rozmowy i konsultacje. Pod jego kierunkiem obroniłem w 1973

roku pracę magisterską na temat: „Ekspansja kolonialna Niemiec w Afryce 1884–1890”, a w 1977 r. gdy podjąłem już pracę w WSP w Zielonej Górze, rozprawę doktorską „Polały w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec 1945–1949”.

W 1986 r. LTN zaprosiło profesora do Zielonej Góry. Przyjechał do nas wraz ze swoim uczniem dr. Tomaszem Schrammem. Wygłosił wówczas interesujący jak zawsze wykład „Polska w Europie 1918–1939”.

Swoje barwne i bogate życie opisał profesor w książce „Przeszłość z bliska. Wspomnienia”, wydanej nakładem PIW w 1983 r. Pouczająca to lektura. Wspomnienia J. Pajewskiego zawierają cenny materiał do badań najnowszej historii Polski. Wiele słów poświęcił profesor swoim mistrzom: Oskarowi Haleckiemu i Szymonowi Askenazemu. Opisał także swoje naukowe podróże do Francji, Wlk. Brytanii, Austrii i Węgier.

Na szczególną uwagę zasługuje ostatni rozdział wspomnień pt. „O szczęściu”. „Za szczęście poczytuję sobie, że w moim długim życiu dużo więcej spotkałem ludzi dobrych niż złych, dużo więcej doznałem od ludzi dobrego niż złego. (...) Uroki staro-

ści — odczuwam ich wiele! Raduję mnie, że wciąż otaczają mnie młodzi uczniowie, którzy tworzą moją najbliższą rodzinę i których nazywam swoją Dzieciarnią (...) Raduję mnie wspomnianie lat dawno minionych, wspomnienie mego życia”.

Dziełem życia J. Pajewskiego będzie zapewne monografia I wojny światowej. Pisze o niej: „I tak trwam pogrążony w problematyce pierwszej wojny światowej, pośród huków dział i gwaru szrapneli. Generałem nie zostałem (...) No, ale z wojskiem przebież nie zerwałem, więc coś z tego zostało. O wojsku teraz piszę. O wojsku i o wojnie”.

Prof. Janusz Pajewski jest promotorem kilkudziesięciu rozpraw doktorskich i kilku przewodów habilitacyjnych. Jest członkiem Kuratorium i Rady Naukowej Instytutu Zachodniego. W 1976 r. uniwersytet w Strassburgu, z którym jest ściśle od wielu lat związany, nadał mu tytuł doktora honoris causa za zasługi w umacnianiu polsko-francuskiej współpracy kulturalnej.

W 80-lecie urodzin Rada Państwa przyznała profesorowi Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą.

Istnieć znaczy tworzyć

Z BOGUSŁAWEM JASIŃSKIM, LAUREATEM NAGRODY IM. ST. WYSPIAŃSKIEGO ROZMAWIA ANNA MAKOWSKA-CIELEN

Zostałeś tegorocznym laureatem cennej Nagrody im. Wyspiańskiego, przyznawanej młodym utalentowanym ludziom. Co dla Ciebie to wyróżnienie oznacza?

— To świadomość, iż przestaje się już być młodym.

— Szybciej spadają kartki z kalendarza?

— Nie, nie w tym sensie. Oznacza to, że czas już najwyższy zacząć myśleć o sobie i swoim życiu w innych kategoriach. Dotychczas zaliczano mnie do „dobrze zapowiadających się”, dziś — muszę rozliczyć się z efektów, a nie z zapowiedzi.

— Efekty są przecież znaczące... Studiowałeś na trzech fakultetach, reżyrowałeś w teatrze, napisałeś trzy książki, opublikowałeś ponad 70 znaczących publikacji. Czy to mało?

— Tak, tak — to wszystko prawda. A jednak uważam, że dopiero teraz wkroczyłem na swoją właściwą drogę. Świadczą o tym moja najnowsza książka pt. „Istnieć znaczy tworzyć”. Próbuję w niej wyłożyć podstawy etnosofii — pewnej koncepcji filozoficznej. Jest to nie tylko teoria filozoficzna, lecz propozycja pewnej postawy życiowej.

— Czy taką odnalazłeś?

— W tak sformułowanym pytaniu tkwi pewne nieporozumienie. Pytanie zakłada bowiem, że istnieje jedna prawda o życiu. I wystarczy ją poznać, by życie uczynić sensownym. A tak nie jest. W mojej teorii etnosofii ukazuję więc raczej drogi odkłaniania życia i jego zafalszowań — ideologicznych, pseudomoralnych, również artystycznych. Czynie to w imię odnalezienia etnosu istnienia, czyli pewnego wertykalnego układu wartości, przetrastających pragmatyczne układy dnia potocznego.

chodzi mi, innymi słowy, o powiązanie nieba ideałów z grzeszną ziemią naszej codzienności. Etnosofia bowiem to tyle co mądrość istnienia w etnosie. Ale także — swoisty kult tego, co istnieje. To również odnalezienie swego miejsca — miejsca, gdzie się jest u siebie. Nazywam to zadowoleniem w bycie.

— Czy Gorzów, w którym urodziłeś się w 1953 roku, jest takim dosłownym „zadowoleniem”?

— Tutaj się urodziłem, tu niemal wszystko było po raz pierwszy: uczucia, pierwsza przeczytana książka na temat filozoficzny, przyjaźnie, zwycięstwa i po raz pierwszy. To pozostawia trwałe ślady w psychice. Ale zarazem takich związków nie przeceniałbym. Człowiek wcale nie musi być skądś, by coś znaczyć. Jedyną realną rzeczywistością dla każdego twórcy jest praca — ona stwarza dzieła i stwarza człowieka. Stąd potrzeba bacznego dla każdej uczciwej pracy.

— Twoje życie jest przykładem pracowitości. Po ukończeniu gorzowskiego Liceum Ogólnokształcącego im. M. Curie-Skłodowskiej przeniostaś się do Wrocławia, gdzie „poczytyłeś” filologię polską i filozofię, zanim ukończyłeś Wydział Reżyserii PWST w Warszawie. Mając 24 lata obroniłeś pracę doktorską na temat „Estetyka realizmu Georga Lukasa i jej przeszłość”. W 1981 roku w ankiecie dziennikarzy zostałeś wybrany jednym z 20 Najwybitniejszych Polaków Roku. Jako jedyny Polak masz swój biogram w VI tomie „The International Who is who of intellectuals”, wydawanym w Cambridge. Byłeś uczestnikiem międzynarodowych konferencji filozoficznych, m.in. w Budapeszcie i Jałowie. Choć mieszkasz w Warszawie, pracując w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, nadal utrzymujesz żywe kontakty z Gorzowem. Prowadziłeś w BWA

cykl wykładów pt. „Granice sztuki — granice estetyki”, zajęcia parateatralne a w tym roku w Klubie Myśli Twórczej miałeś bardzo interesujący wykład na temat „Nowomowa i jej funkcje artystyczne”. Nie więc dziwnego, że Nagrodę im. Wyspiańskiego I stopnia otrzymałeś za wybitne osiągnięcia w badaniu filozoficznych podstaw współczesnej estetyki. Cóż zatem z najbliższymi planami?

— Czekam mnie wielomiesięczny wyjazd do Indii, gdzie mam mieszkać w asramie i na zasadzie obserwacji uczestniczącej coś o tamtym życiu napisać. To taka próba spotkania Wschodu i Zachodu. Mierzę w syntezę naszych czasów — już w XXI wiek.

— A potem?

— Później mam kontrakt na pracę w Uniwersytecie im. Goethego we Frankfurcie nad Menem. Tam wyjadę z żoną i dziećmi...

— A gdzie czas na kolejne odwiedziny w Gorzowie?

— Trudno mi dziś odpowiedzieć. Proszę mnie dobrze zrozumieć: to nie jest tak i nie może być, że z tzw. wielkiego świata przyjeżdża się na prowincję w roli gwiazdy. Gdyby tak było, z pewnością omijałbym Gorzów. Byłoby to bowiem i nieprawdliwe, i nieautentyczne. Po prostu dlatego, że prowincji dziś nie ma. Istnieje tylko prowincjusze, nawet w stolicach. Prowincji dlatego nie ma, ponieważ rozwój środków komunikacji, także audiowizualnej, jest tak wielki, że można mieć ułatwiony dostęp do informacji z całego świata. Telewizja satelitarna, video i komputery nowej generacji to prawdziwa rewolucja cywilizacyjna. Kto tego nie rozumie, ten nie rozumie, z dzisiejszego świata. Dlatego wobec mniejszych ośrodków — takich jak Gorzów — trzeba mieć inną strategię działania. Tu właśnie można lokalizować takie inicjatywy, z którymi nie można „przebić” się w centrum. Wtedy droga do wielkiego świata wiedzie przez takie miasta jak Gorzów. Tu nie powinno przyjeżdżać towarzysztwo, które odcina kupon od swojej wątpliwej kariery, ale ci, którzy chcą coś autentycznego osiągnąć. Wraz z miastem przebić się dalej. I jeśli tego terenowa władza nie rozumie, to jest w najgłębszym sensie tego słowa prowincjonalna.

— Dziękuję za rozmowę.

Estrada

Piosenki, z których się żyje

„Ogrzeje mnie” — zaśpiewał na wstępie Michał Bajor i widownia natychmiast rozgrzała się w ten jesienny, chłodny wieczór. Po Bajorze, który pełnił także rolę konferansjera, a czynił to ładnie i oszczędnie, wystąpiła Alicja Majewska. Podziwiam tę piosenkarkę za głos, który rozwija, czego nie można powiedzieć o wielu osobach śpiewających, za wytrwałość oraz aparycją, której utrzymanie wymaga od kobiety, jak wiadomo, samozaparcia.

Śpiewając o kobietach i dla kobiet, Majewska oscyluje między kuchnią a sypialnią i przy pomocy busoli trafia niekiedy na nieznaną ląd, gdzie tuby mówią językiem „szabadabada”. Jednak autorzy tych, pozornie profanizujących tekstów, normalnie i po męsku wpuszczają piosenkarkę w przyszłowie smaczne, każąc jej pracować koszule, smażyć naleśniki i gotować barszcz. No i trafił się jeden grzybek za dużo w tym barszczu.

Oto „Marsz samotnych kobiet” zaśpiewany dramatycznie, mógłby być piosenką skłaniającą do głębszej myśli. Ale po słowach — cytuję: „... gdy na pierogi gniołam farsz”, wyzaczarowany muzyką, głosem natrój przyskoczył margaryna na patelni i nagle robi się śmiesznie! Bo każda polska baba wie, że na pierogi gniecie się ciasto, zaś farsz nie le się przez maszynkę. Zamiast zamysłu nia i wzruszenia — „szabadabada”.

Inaczej jest z odbiorem piosenek wykonanych przez Danutę Rinn, która nawet śpiewając pod publiczność i żartując z siebie, przekazuje odrobinę prawdziwego sentymentu w sposób nieczym niezakończony. Jej repertuar, choć także w części „kobiecy”, pisany być może przez te same pióra, nie traci przypału na kapustą, np. piosenka „Wczoraj, gdy byłem młoda”. Prawda, że sporo wody upłynęło od „Biedroneczek w kropeczki”, a nawet do opolskiego zawołania na cały kraj „Gdzie ci mężczyźni?” Danuta Rinn nie musi jednak martwić się ani upływem czasu, ani centymetrami w talii. Brawo za „Ptasie radio”!

Barbara Wrzesińska jako Panna Basińska z „Kabareciu” Olgi Lipińskiej, urwana z choinki, cała w loczkach i piórach, oklaskiwana była szczerze. Ale wykonany przez nią wcześniej poemat Tuwima, nie bardzo się podobał. Kuchenny erotyzm Majewskiej, problemy „Polskiej baby” Danuty Rinn i kobiece charakterki Barbary Wrzesińskiej — wszystko to razem dawało jakiś nadmiar tematyczny i nasuwało pytanie, czy przypadkiem nie pomylił się daty? Wszak do 8 Marca jeszcze daleko.

W tym sosie zapewne nie czuł się najlepiej Michał Bajor, natchniony „Błędny rycearz” z wysokim słupkiem rżni, wyczekiwaną przez matkę „syn-króle-wicz”, jadący „szóstką koni” po „Jesien nym stepie”, słowem ktoś z całkiem innego przedstawienia.

Osiągnięcia Bajora w teatrze, filmie, telewizji i w piosence obserwujemy w Zielonej Górze szczególnie żywcem, albowiem pamiętamy tego aktora, gdy jako 16-latek podczas X Festiwalu Piosenki Radzieckiej w 1974 r. został laureatem nagrody dziennikarzy.

Wszystkie utwory (chyba poza jednym, pochodzącym z repertuaru Brela) były dziełami muzycznymi Włodzimierza Korcia, który, jako gospodarz koncertu pod nazwą „Włodzimierz Korci i jego goście”, napracował się najwięcej ze wszystkich. Zastępował mianowicie orkiestrę, co było zadaniem trudnym na wet dla kompozytora, a zarazem pianisty, zwłaszcza w przypadku przebojów gońców wszystkich znanych z radiowych nagrań, z „gęstym”, orkiestrowym akompaniamentem.

„Piosenki z których się żyje” (czytaj: z których żyją wykonawcy, a ewentualnie wyższy pochodzi z jednej spośród nich), podobały się publiczności, która opuszczała Halę Ludową wyraźnie usatysfakcjonowana, za swoje, wydane na bilet, 700 złotych.

HALINA AŃSKA

NASZE XXX lecie

W ciągu całej swojej historii „Nadodrza”, będąc pismem społeczno-kulturalnym związanym z Lubuskim Towarzystwem Kultury, towarzyszyło rozwojowi lubuskiego środowiska twórczego, wiele uwagi poświęcało różnym przejawom twórczości amatorskiej, szczególnie zaś zainteresowaniem darzyło środowisko plastyczne. Różnie się to przejawiało: recenzja na ogół zawsze komentowała ważniejsze wydarzenia w dziedzinie twórczości plastycznej, pismo poruszało też kwestie natury ogólniejszej, dotyczące wzajemnych relacji: twórcy — odbiorcy sztuki. W sposób jednak najbardziej znaczący angażowało się ono w duże przedsięwzięcia artystyczne środowiska, jakimi były organizowane na zasadzie biennale teoretyczne sympozja i wystawy „Złote Grono”.

Pierwsze dwie tego typu imprezy, tj. I i II „Złote Grono”, zostały w piśmie szeroko odnotowane. W 1969 r. miało ono nawet ambicję wyprzedzenia i współgrania z tą imprezą, stawiając w szeregu publikacji interesujące problemy do dyskusji na III Sympozjum. W nr 19 (186) opublikowano rozmowę ze znanym krytykiem sztuki Jerzym Ludwińskim, który wprowadził czytelników w problematykę sympozjum nt. „Sztuka i krytyka u nas dzisiaj”, omówił wystawy pod hasłem „Krytycy prezentują artystów”, a w następnym, 20 (187) przedstawiono obszerną opinię wybitnych artystów i krytyków sztuki nt. sensu i funkcji krytyki w konfrontacji z aktualnym obrazem sztuki polskiej.

„Jest rzeczą prawdopodobną, że kolumna, na którą zwracamy uwagę czytelników — pisali przy tej okazji jej redaktorzy: Henryka Doboszowa i Jerzy Ludwiński — za 50 lat wyda się śmieszna. Może już wtedy nie będzie sztuki? Może wyprze ją nauka? Może utopi się w rzeczywistość tak daleko, że trudno będzie ją odróżnić od innych przejawów życia? A może ruch artystyczny stanie się tak wielki, że trzeba będzie zbudować autostrady wielopoziomowe? Już dzisiaj tysiące Rembrandtów tłocz się u wejść do kanałów informacyjnych — jak mówił Lem. Czy znaczący to, że w naszym wieku nie może pojawić się żaden Rembrandt? Teoria prawdopodobieństwa sugerowałaby jednak coś wręcz przeciwnego, ponieważ ilość artystów gwałtownie wzrasta. Wszyscy znakomici autorzy naszej kolumny nad tym się zastanawiają. Kontrowersyjność tych wypowiedzi świadczy, jak wielkie jest napięcie wokół tego tematu.”

Autorzy ci, to m.in. Andrzej Oseka, Wiesław Borowski, Kazimierz Mikulski, Marian Szpakowski, Jerzy Nowosielski, Wanda Gólkowska, Kazimierz Rojowski, Jan Chwałczyk, Eugeniusz Geppert, Jerzy Madeyski. W nawiazaniu do tego tematu redakcja opublikowała w nr 22 (189) szkic przewodniczącego Komisji Programowej „Złotego Grona”, nie żyjącego już dyrektora Instytutu Sztuki PAN, prof. dr Juliusza Starzyńskiego pt. „Skąd przyszłodziśmy?”, omawiający ówczesną sytuację artystyczną w Polsce, a w nr 25 (192) obszernie omówienie interesujących inicjatyw zielonogórskich artystów — plastyków w Głogowie, pt. „Plastyki weszli do miedziowego miasta”.

Nie była to jedyna inicjatywa na tak dużą skalę, w której uczestniczyło pismo w 1969 r. Angażowało się ono w kolejny Festiwal Piosenki Radzieckiej, Lubuskie Lato Filmowe, wobec którego ruch zajmowało postawę nie tylko obserwatora i popularyzatora, ale miało ambicję zabierać głos w sprawie ich koncepcji i rozwijać wokół nich żywą polemikę. Przy tym wszystkim nie obce były piśmu publicystyka i reportaż na aktualne tematy niemieckie (np. znanymi artykuł w nr 24 (191) pt. „Oczekując ery Brandta”, który komentował dokonujące się zmiany na mapie politycznej RFN w owym czasie), oświatowe i społeczno-gospodarcze, te ostatnie związane z próbami wprowadzenia naszego kraju z narastającym impasem ekonomicznym. Na całe szczęście udało się piśmu uniknąć wpłynięcia na większą skalę w grę polityczną, jaka w tym czasie toczyła się w Polsce, a która później spotkała się z dość jednoznaczną oceną. Warto także zwrócić uwagę na oryginalną inicjatywę redakcji, dotyczącą cyklu numerów wyjątkowych z bliźniaczymi numerami krajowymi, pod hasłem: „Polska jest jedna”. Była to także realizacja wcześniejszych zgłaszanych społecznych postulatów.

WIESŁAW NODZIŃSKI



XV Salon Jesienny

W dużej sali zielonogórskiego Biura Wystaw Artystycznych jest czynna po konkursowa wystawa plastyczna, na której zgromadzone prace uczestników XV Salonu Jesiennego. Uczestniczą w niej artyści z obu lubuskich województw — gorzowskiego i zielonogórskiego, zrzeszeni w nowych związkach plastyków, jak i niezrzeszeni. W zdecydowanej większości są to absolwenci wyższych szkół plastycznych. I Salon Jesienny odbył się w 1972 roku z inicjatywy ówczesnego Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Następnie były organizowane corocznie przez ZPAP, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Biuro Wystaw Artystycznych i wojewódzki oraz miejski wydziały kultury i sztuki w Zielonej Górze. Po rozwiązaniu ZPAP i jednorocznej likwidacji zielonogórskiego Biura Wystaw Artystycznych nastąpiła przerwa w organizowaniu konkursów i wystaw. Kolejny Salon zorganizowano w 1983 roku w Zielonej Górze, a od 1984 roku konkursy odbywają się przemienne — w Gorzowie i Zielonej Górze. W tym roku do organizacji konkursu i wystawy włączył się Zarząd Lubuskiego Oddziału Związku Artystów Polska Sztuka Użytkowa. Nagrody ufundowały zielonogórskie instytucje upowszechniania sztuki, oba wydziały kultury i sztuki oraz Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy.

Organizatorzy pierwszych konkursów i wystaw zakładali, że będą to do roczne przeglądy osiągnięć twórczych artystów plastyków mieszkających na środkowym Nadodrzu. Nigdy jednak nie uczestniczyli w nich wszyscy plastycy lubuscy, a od roku 1984 daje się wyraźnie odczuć podział na środowiska — gorzowskie i zielonogórskie. Jeśli impreza odbywa się w Gorzowie, dominują w niej plastycy gorzowscy; jeśli w Zielonej Górze — zdecydowana większość prac pochodzi z pracowni zielonogórskich. W XV Salonie Jesiennym bierze udział 21 plastyków, ale tylko troje (Ewa i Wiesław Strebekowie oraz Anna Szymanek) mieszka w Gorzowie, pozostali są mieszkańcami Lubuska, Zar i Zielonej Góry. Dlaczego tak się dzieje, nie wiedzą organizato-

rzy. Organizatorzy nie wiedzą także, dlaczego w XV Salonie Jesiennym uczestniczy tylko co czwarty plastyk lubuski. I dlatego do konkursu nie przyłączyli najmłodszych artystów, zeszłoroczni absolwenci uczelni plastycznych.

Jury pod przewodnictwem profesora Andrzeja Jeziorowskiego artysty grafika z Poznania, oceniło 67 zestawów i prac pojedynczych i zdecydowało, że wszystkie kwalifikują się na wystawę. Jury przyznało trzy równorzędne nagrody wraz z medalami, oraz trzy równorzędne wyróżnienia. Jedną z trzech nagród otrzymała Irena Bierwiazzonek-Polak za zestaw prac: „Rocznica królewna”, „Za szyć” i „Radość czystej konsumpcji”. Są to obrazy olejne, w

tonach tłustych, brunatnych, rzadziej oliwkowych, na których artystka przedstawiła portrety. Jury szczególnie podobał się obraz „Radość czystej konsumpcji”. Między poszczególnymi częściami tego dzieła sztuki istnieją związki, będące czymś innym niż związkami realnych zdarzeń. Ukazują one szczególne zamiary artystki, są przedmiotem uwagi każdego widza, a przez to są „czytane” przez widza, dostarczają rozkoszy i wzruszeń, nie mniejszych niż te, jakich dostarcza reszta zawartości dzieła. Nagrodę za zestaw grafiki otrzymał Adam Falkiewicz, który przedstawił prace: „Temat nurtujący” z cyklu „Kulisy”, „Silentium” i „Zapis” z cyklu „Fenomeny”. Również Henryk Krakowiak otrzymał nagrodę za zestaw grafik „Raj utracony”. Falkiewicz w przeciwieństwie do niego stara się pokazać człowieka uwikłanego w problemy codzienne, ale i wyrazić jego niepokój o los świata.

Wśród prac wyróżnionych uwagę zwracających zwracają nowe plakaty małżeństwa Strebeków, artystów zajmujących się także scenografią teatralną. Mamy więc ich plakaty do „Wesela” Wyspiańskiego, wykonane na zamówienie gorzowskiego Teatru im. Juliusza

szca Osterwy, do „Kopciuszka” Eugeniusza Szwarca, wykonane dla Teatru Laiki i Aktora w Katowicach, propagujące XXV Bydgoski Festiwal Muzyczny oraz na zamówienie francuskiego organizatora festiwalu kulturalnego. Jury wyróżniło teżbę Marka Przewalskiego pt. „Jestem” oraz zestaw rysunków ołówkiem: „Dyptyk — Rywaki I”, „Dyptyk — Rywaki II” i „Worek”, których autorką jest Dorota Komar-Zmżyłony.

Ciekawie prezentują się formy ceramiczne Anny Szymanek pt. „Muszelki”, „Purchawki” i „Purchawki-Panki”. Interesujące są ekslibrisy i małe grafiki Stanisława Pary. Należy zwrócić uwagę na prace graficzne Stanisława Antosza, Agaty Buchalik-Drzygzi, a także na interesujące obrazy olejne Bożeny Caidler-Gruszkiewicz, Stefana Słockiego, Witolda Nowickiego i Hilarego Gwizdały.

Na wystawie zabrakło tkanin, które przecież powstają w środowisku gorzowskim. Nie zaprezentowano form medalierskich. Nie ma także prac podobnych do tych, które zwykliśmy oglądać na Biennale Sztuki Nowej.

ALFRED SIATECKI



Irena Bierwiazzonek-Polak „Radość czystej konsumpcji”, olej, 1987.

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ



OBRAZ WAŻNY ALE WYCINKOWY

Nie ma racji Czesław P. Dutka, autor wstępu do omawianej publikacji, że nieobecność wielu znaczących — wcześniej zgłoszonych — referatów uznanych badaczy literatury najnowszej nie wpłynęła destruktywnie na przebieg sesji, której ta publikacja jest rezultatem. Już o tej różnicy zaświadcza program ogólnopolskiej sesji naukowej p.n. „Z problemów literatury czterdziestolecia” wydrukowany, a rzeczywiście zrealizowany.

Udział w sesji (4-5.V. 1984) zgłosiło wielu najbardziej kompetentnych badaczy m.in. prof. S. Burkot, prof. J. Maciejewski, doc. A. Cieński, dr A. Zawa, dr S. Stabro. Ale do Zielonej Góry naukowcy ci, niestety, nie przyjechali. Uczestnicy obrad nie wysłuchali referatów, m.in. o prozie fabularnej w latach 1939-1955, o literaturze Pokolenia 1956 r. z perspektywą czterdziestolecia i o „rozstraniach z awangarda”. Nie wygłoszono też ciekawie zapowiadających się opinii — o „sacrealistycznym upadku kacha Lema”, „Kulturowych podstawach twórczości Przybosa” i roli „Poematu dla dorosłych” Wazyka. Nie podważając oczywiście znaczenia tekstów wygłoszonych, absencja tych ważkich merytorycznych tematów rozbiła względnie zarysowywany się pierwotnie, całościowy, mieszczący się w zakresach cezurach, ogłąd.

Spowodowało to, że materiał zamieszczony teraz w książce stał się bardzo wycinkowy, a przez to mniej spójny. Zabrakło więc szczególnie prób periodyzacji tej literatury, a lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte zostały jedynie zaznaczone w artykule Anny Swirek pt. „Wpływ linieizmu na poezję współczesną”. Sądzę też, iż cezurę przyjętą w książce (1944-1984) można jedynie potraktować jako jubileuszową inspirację, gdyż w aspekcie literackim ta druga data nie ma znaczenia.

Trzeba również zauważyć, iż wydanie książki jest pewną logiczną konsekwencją

wcześniejszych publikacji (tj. A. Swirek: „W kręgu współczesnej poezji: lingwistycznej” i Cz.P. Dutka: „Mit i gest”) i skierowana optyka badawcza: „Problemy teoretyczne polskiej współczesnej powieści historycznej”, największą uwagę zwrócił na sesji tekst doc. Erazma Kuźmy. „Mit jako kategoria krytyczno-literacka w latach 1945-1984”. Dziś, czytając go, zastanawiam się, dlaczego? Czyżby urzekł słuchaczy bardzo hermetyczny język? Tekst jest bowiem rzeczywiście wysoko erudycyjny, ale przecież w rezultacie bardzo sprawozdawczy, pokazuje bowiem — jak pisze autor — „historię zastosowań słowa mit i jego rozumienia do polskiej krytyki literackiej”. Pokazuje tylko stanowiska. W zbiorze zwracają natomiast uwagę przejrzystości narracji i pogłębionym ujęciem szkice dra Cz.P. Dutki i dr A. Swirek. Artykuł Cz. Dutki koncentruje optykę na „prozie tak zwanych obrachunków intelektualnych” (termin K.Wyki z książki „Pograniczne powieści”), a ściślej — autor próbuje dotrzeć do romantycznych gestów, romantycznego odczytu o Polsce w powieści Stanisława Dygata „Jezioro Bodeńskie”.

Na zjawisko sięgania do tradycji lingwizmu zwróciła uwagę A. Swirek we wspomnianym wcześniej artykule. Dwa spostrzeżenia z tej refleksji wydały się ważne. Pierwsze, to fakt odciecia lingwistycznych prób poetyckich do historii; drugie, to przeświadczenie o czynnej obecności lingwistycznej poezji jako tradycji, do której nawiązują zarówno poeci nielingwistyczni (W. Symborska, Z. Jermyna, E. Lipska), jak i krakowska grupa „Teraz” oraz tzw. „nowe roczniki”.

Relacje: barok a współczesność rozpatruje Marta Ruszczyńska w artykule „W kręgu barokowego rodowodu poezji”. Przykładem jest poezja Stanisława Grochowiaka (fetyzysty brzydoty) i Jarosława Marka Rymkiewicza. Badań komparatystycznych dotyczy artykuł prof. Eugeniusza Klina pt. „Pierwotność faustowskie w powieści Andrzeja Kuśnierza „Trzecie Królestwo”, dr Michał Kaziów omawia „Oryginalne słuchowisko w radioteatrze leci Polski Ludowej”. Jest też szkic o „Programie społeczno-literackim „Polonia” (1946-1947)”. Wydanie tego tomu można uznać za wydarzenie w cyklu rocznicowych syn tezy literatury PRL — a zielonogórską sesję w pewnym stopniu wyprzedziła chociażby konferencja pisarzy, która odbyła się w Warszawie w lutym 1985 r. i była poświęcona podobnym problemom.

ANDRZEJ BUCK

Z problemów literatury czterdziestolecia Polski Ludowej. Pod redakcją Władysława Matuszewskego. Zielona Góra 1986 r. nakł. 320 + 80, cena 230 zł.



Leon Ł. Pszczyna. Pańskie utwory nie mają, niestety, nie wspólnego z poezją. Brak im artystycznej formy, nie ciekawego nie ma Pan do przekazania czytelnikom nie wzruszają i nie skłaniają do refleksji. Dlatego nie skorzystam z propozycji druku. Radzę natomiast lekturę wierszy znanych polskich twórców.

Zbigniew H. Bytom. Dwa Pańskie utwory „Przebudzenie” i „Szczęście” ujawniają pewne uzdolnienia poetyckie, lecz nie wypracował Pan jeszcze własnej form obrazowania, przekazywania swych refleksji i spostrzeżeń. Posługuje się Pan wyrazem artystycznym starszowieckim, mocno już zwietrzałym, wykorzystanym. Wiersz pt. „Przebudzenie” razi nadmierną retoryką, patetycznym zadaniem, choć wyraża Pan słusne myśli i idee.

Adam N. Zielona Góra. Jak już wcześniej Pana informowałem, nadesłane utwory — choć zawierają interesujące motywy — nie mają wartości artystycznych. Przeważa retoryka, oszczędność, kosztowność. Radzę zająć się próbami obrazowania, słowania metafor, alegorii, przenośni. Być może wówczas zdola Pan osiągnąć lepsze rezultaty.

Maciek S. Nowa Sól. Nadesłane teksty pochodzą z pogranicza frazsek i wierszyków, wpisanych najczęściej kiedyś do sztabuchów. Irytują swoją naiwnością i banalnością. Po ich lekturze zwątpiłem w Pańskie możliwości i talenty literackie.

Klara P. Pilchowiec, woj. Jelenia Góra. Pańskie wiersze są jeszcze bardzo młodziemcze, nabyły wiele w nich sentymentalizmu, ekliwkości i „naiwności”. Wyraża Pańskie swoje uczucie i przeżycia w sposób spontaniczny, nie troszcząc się o kształt formy utworów. Na podstawie ich lektury trudno mi przewidzieć, czy rozwinie się w Pań talent poetycki. Do radzani jednak nie rezygnować, w moimolnym trudzie wiersze poprawiać, cyfrować formę i skreślać te wszystkie patetyczne uniesienia. Uniesienia, zapewne wynikające z potrzeby serca, lecz odbierane przez czytelnika bez należytej powagi. Bo zbędne, nieuporządkowane i powierzchowne.

Hildegarda F.G. Bielsko Biala. Dziękuję za pamięć, niestety z braku miejsca nie mogę wykorzystać Pań wierszy w najbliższym czasie. Łączę pozdrowienia i życzę sukcesów literackich.

Z.L.

Maska

Amerykańskie kino dzieli się na dwa główne nurty. Pierwszy, ten najbardziej znany i zarazem popularny, prezentuje filmy rozrywkowe, przeznaczone dla szerokiego kręgu odbiorcy. Nie jest w tym momencie ważny poziom artystyczny obrazów, gdyż obok filmów lekkich, zabawnych, komercyjnych, znajdziemy filmy wybitne, głębokie, o dużym artyzmie. Drugi rodzaj charakteryzuje się mniejszym rozmachem, a przez to większą kameralnością. Wszelkie jest jakby wyciszone, ograniczone w przebiegu, dalekie od metropolii, ich hasła, wielkich problemów. Dalekie wreszcie od przesadnej ogólności. Takie filmy atmosfery swą przypominają np. książkę „Długi tydzień w Parkman” Jonesa, tego samego, który napisał „Stąd do wieczności”. W prowincjonalnym amerykańskim miasteczku końca lat czterdziestych, odwiedzone przez powracającego z wojny młodego literata, rozgrywa się mała dramatyczna historia. Ale te dramaty niosą ze sobą śmierć, opuszcze-

nie, samotność, życiową przegraną, niezrozumienie.

Podobne wymiary życia i człowieczeństwa odnajdujemy w filmach z kręgu kameralnych dramatów psychologicznych (należy doń wyświetlany na naszych ekranach film Roberta Redforda: „Zwykli ludzie”). Dużą popularnością cieszy się inny film z tego kręgu — „Maska” w reżyserii Petera Bogdanovitcha, zrealizowany w 1984 roku. Bogdanovitch, wielki miłośnik prawdziwego kina, uwielbia łączenie form pozornie lekkich, komediowych z subtelnie podanym problemem moralnym. Pamiętamy go z tak znanego filmu jak „Papierowy księżyc”.

„Maska”, jedenaste już dzieło amerykańskiego twórcy, rozgrywa się w latach sześćdziesiątych i oparta została na autentycznej historii chorego chłopca, Rocky Dennisa, cierpiącego na rzadką nieuleczalną dolegliwość, zwaną „chorobą lwa”. Polega ona na rozrastaniu się kości twarzy, i prowadzi do deformacji czaszki, a w następstwie do śmierci. Relacja jest autorstwa pielęgniarki opiekującej się cierpiącym chłopcem. Film jakby prawem kontrastu buduje wizję sennego, rozleniwionego amerykańskiego miasteczka prowincjonalnego i rozgrywający się dramat świadomości umierającego chłopca. Jego twarz, jakże inna od otaczających go twarzy ludzi, matki, znajomych, niemal przesługuje widza, bowiem niewiele jest chwil, gdy Bogdanovitch uwalnia nas od tego widoku. Oczywiście, nie ma w tym nic z horroru — maska ma w sobie, poza cechami choroby,

rys dziecka, ciągle niewinnego i słodkiego.

Jak na obraz autora „Ostatniego seansu filmowego” przystało — istota „Maski” nie jest historią choroby młodego chłopca, lecz towarzyszący temu problem moralnej odpowiedzialności otoczenia dziecka. Rocky jest sympatyczny, inteligentny, nieźle się uczy i... od początku rozumie swą sytuację. Nie może znaleźć przyjaciół, odpychają go dziewczęta, stosunek dorosłych do niego bogaty jest w różnorodne niuanse. Ich tolerancja nie jest jednakowa, jak różni są po prostu ludzie. Każdy z bohaterów przybiera inną maskę i pokazuje ją publicznie. Pastisz niewielkiego środowiska rozrasta się do próby pokazania człowieka w momencie dla niego nowym i niezbyt korzystnym: kiedy człowieczeństwo poddane zostaje kolejnemu egzaminowi dojrzałości i odpowiedzialności.

Jedne z najcieplejszych i zarazem najpiękniejszych momentów filmów, to obrazy pokazujące miłość matki i syna, ich wzajemne zrozumienie. Słowna piosenkarka Cher otrzymała za kreację matki — nagrodę aktorską na festiwalu w Cannes w 1985 roku. Równie przejmująca jest gra młodego aktora.

Film bogaty jest w przeróżne odcienie i komedii, i tragedii. Potrafi wzruszyć, potrafi też wzbożać moralnie oraz przekazać własne rozumienie ludzkiego losu. „Maska” to film przejmujący i wzruszający zarazem — film piękny i każdemu z nas potrzebny.

FAN (MM)

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU POETYCKIEGO

LISTY

„Cztery wersje jednego wydarzenia”

W numerze 19 z 20.09.—3.10.1987 r. Waszego dwutygodnika ukazał się artykuł napisany przez E. Nowakowskiego zatytułowany „Cztery wersje jednego wydarzenia”. Biorąc pod uwagę całość tego artykułu oraz dane tam znajdujące się oświadczam, że z czterech podanych wersji tylko ostatnia, czwarta, najbardziej zbliżona jest do rzeczywistości. Po zostało trzy mijają się z prawdą i dlatego też nie będę się do nich ustosunkowywał.

Stan faktyczny poruszony w sprawie przedstawia się następująco:

a) w październiku 1983 r. na polowaniu dewizowym w okolicach Wymiarów przebywali myśliwi z RFN; 20.10.1983 r. z samochodu jednego z tych myśliwych skradziono aparat fotograficzny;

b) Dyrektor szkoły przeprowadził roz-

prawę z jednym z uczniów i odebrał mu ten aparat (fakt kradzieży aparatu potwierdziło postępowanie przygotowawcze prowadzone przez RUSW w Zaganiu, zakończone 10.10.1984 r. przekazaniem materiału do Wydziału Rodzinno i Nieletnich Sądu Rejonowego w Zaganiu);

c) poszkodowany zgłosił się do dyrektora szkoły po odbiór aparatu, lecz ten uwarunkował jego oddanie uzyskaniem tzw. znaleźnego w wysokości 10 proc. wartości aparatu tj. 60 DM;

d) wymieniona kwota zapłacona została przez obywatela RFN, dyrektor zaś zdeponował ją w kasie szkoły, polecając księgowej sporządzenie protokołu komisijnego przyjęcia dewiz z przeznaczeniem na konto Społecznego Komitetu Budowy Szkoły;

e) księgowa szkoły 60 DM przekazała skarbnikowi SKBS;

f) 28.01.1985 r. Komendant Posterunku MO w Wymiarach działając na polecenie WUSW w Zielonej Górze, odebrał wspomnianą 60 DM od skarbnika SKBS, przekazując je następnego dnia do WUSW w Ziel. Górze;

g) tego samego dnia tj. 29.01.1985 r. WUSW w Ziel. Górze kwotę tę przekazał do MSW w Warszawie celem zwrotu jej obywatelowi RFN — właścicielowi aparatu fotograficznego (pokwitowanie znajduje się do wglądu w Wydziale Ogólnym WUSW w Zielonej Górze, 1. dz. AC-623/84/.

Należy zaznaczyć, że dyrektor szkoły żądał od właściciela aparatu znaleźnego, gdyż (jak zeznał w Prokuraturze Rejonowej w Zaganiu) rozpytywany przez niego uczeń oświadczył mu, że aparat został „znaleziony”, a nie ukradziony.

Reasumując, podkreślam, że udział Komendanta Posterunku MO w Wymiarach, ograniczył się tylko i wyłącznie do pośrednictwa w przekazaniu 60 DM z funduszu SKBS do WUSW w Zielonej Górze. Nie można w żadnym wypadku mówić o jakimkolwiek przywłaszczeniu kwoty pieniędzy w markach zachodniemiejskich przez tego funkcjonariusza.

Mając na względzie dobre imię Komendanta Posterunku MO w Wymiarach (podważane publikacją „Cztery wersje jednego wydarzenia” autorstwa E. Nowakowskiego) proszę o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia w Waszym dwutygodniku.

RZECZNIK PRASOWY
SZEFA WUSW
W ZIELONEJ GÓRZE
kpt. mgr W. Szopski

Od autora: Serdecznie dziękuję rzecznikowi prasowemu WUSW za przesłanie wyjaśnienia. Sądzę, że w Wymiarach nareszcie przestanie się mówić o tym, kto wziął marki. Jeśli swoim tekstem dotknął kogokolwiek — przepraszam.

E. Nowakowski

Ułatwiłoby to znakomicie działalność artystyczną zespołu, który ze swoimi problemami i troskami jest pozostawiony samemu sobie.

Gospodyn klub, Irena Plaskota, która pracuje tu od sześciu lat, ukończyła wprawdzie podstawowe przeszkolenie dla gospodarzy klubów w Klenicy, ale wiadomości tam nabyte nie wystarczają do kierowania zespołem folklorystycznym.

Odwołanie i zorganizowane „Polesie” występowało już wielokrotnie w swojej wsi oraz na różnych przeglądach i imprezach w Krośnie Odrzańskim, gdzie cieszyło się dużym powodzeniem, a jego występy oklaskiwano wiele setek widzów. To dobrze, że „Polesie” wyszło poza opłotki wsi.

W Białkowie jest dużo młodziarzy i szkoda, że w klubie nie działa, poza społeczną radą klubu i KGW, żadna organizacja młodzieżowa społeczna, lub społeczno-polityczna, albo nawet jakieś kółko zainteresowań. Szachy, gra w ping-ponga, ręczny stół, piłki nożne, warcaby, dwa radiodiodniarki, magnetofon zakupiony ze składek z dyskotek oraz sprzęt nagłaśniający zakupiony przez Oddział RSW w Krośnie Odrzańskim — to wszystko mogłoby służyć większej liczbie młodzieży.

ZENON CZARNECKI

30 lat LKF

Dziś już nikt nie pamięta, kto zaproponował, by nakręcić pierwszy film zielonogórski, prawdopodobnie był to ktoś spośród pracowników Okręgowego Zarządu Kin. Podczas balu sylwestrowego w 1957 roku wyświetlono plakat filmowy pt. „I znowu minął rok”, w kolorze, na taśmie 35 mm. Janusz Łomski przypomina sobie, że film został zrealizowany ze składek kilku osób. Niedługo po tym fakcie powstał w Zielonej Górze Amatorski Klub Filmowy „Kamera”, a jego prezesem został Stefan Komar. Utworzone w lipcu 1957 roku Lubuskie Towarzystwo Kultury przystąpiło do klubu i zapewniło mu środki finansowe. LTK kupiło kamerę, sprzęt pomocniczy, a kilka reflektorów wykonali sami członkowie LKF. Sprzęt ten jest wykorzystywany nadal. W 1958 roku został zrealizowany pierwszy film pt. „Była i jest nasza”, zakupiony przez telewizję.

W ciągu minionych 30 lat LKF zrealizował 57 filmów, w większości na taśmie 35 mm; obecnie przygotowuje 3 następne. Dla potrzeb Dziennika TV filmowcy amatorzy nakręcili 20 odcinków tematycznych. Zaś w archiwum klubu znajduje się około 10 tysięcy metrów taśmy, na której zarejestrowano ważniejsze wydarzenia w regionie. Wiele filmów LKF wyświetlano w kinach województwa zielonogórskiego, niektóre w kinach całego kraju. 9 filmów zakupiła Centrala Rozpoznawania Filmów Oświatowych, 1 — Centrala Wynajmu Filmów, 15 — wykorzystwała telewizja w programach ogólnopolskich i lokalnych. 26 filmów powstało na zlecenie zielonogórskich zakładów pracy, m. in. „Zastalu”, „Polskiej Welny”. Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej, państwowych gospodarstw rolnych. Takie prace, jak: „Wierna ziemia”, „Wędrownik lubuski”, „Była i jest nasza” oraz „W leśnych ostępach” otrzymały nagrody i wyróżnienia krajowe. Niedawno filmowcy z LKF zrealizowali rzecz o biesiadach kołgarskich w Nadni pt. „Spadł z pieca gołabek”. Trwają prace nad filmami o Lubuskim Leśnictwie Filmowym w Zagowie i o Zielonej Górze. Wszystkie nadające się do projekcji kopie filmowe znajdują się w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze i stamtąd można je wypożyczyć. Prezesem LKF jest Roman Garbowski, aktor.

Nagroda SAP

Od trzech lat zielonogórski Oddział Stowarzyszenia Autorów Polskich przyznaje nagrody za najlepsze publikacje książkowe członków SAP, mieszkających na środkowym Nadodrzu. Laureatem tegorocznej nagrody został dr Wiesław Hladkiewicz — historyk i politolog w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a także wykładowca w Wojewódzkiej Szkole Partyjnej w Zielonej Górze. W. Hladkiewicz otrzymał nagrodę za książkę pt. „System kolonialny Rzeszy niemieckiej”, która ukazała się w Wydawnictwie WSP, w nakładzie 400 egz. (240 str., cena 360 zł).

Prace magisterskie o kulturze

Po raz drugi Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie, Gorzowskie Towarzystwo Naukowe i Gorzowskie Towarzystwo Kultury byli organizatorami konkursu na prace magisterskie z zakresu rozwoju kultury w województwie gorzowskim. Komisja pod przewodnictwem doc. dr. hab. Bogdana J. Kunickiego z Wydziału Zamiejscowego AWF w Gorzowie pierwszą nagrodę przyznała Dorocie Kwiatkowskiej za pracę „Życie literackie Gorzowa w latach 1945—1985”. Drugą nagrodę otrzymała Monika Szadkowska-Konwa, autorka pracy „Ruch wydawniczy w Gorzowie w latach 1945—1985”. Komisja przyznała dwie trzecie nagrody, które otrzymali — Bogusław Dziekański za pracę „Zainteresowanie muzyką jazzu w uczestników imprez Gorzowskiego Klubu Jazzowego” i Krystyna Ostera za pracę „Zasoby bibliotek małego miasta a potrzeby ustawicznego kształcenia na przykładzie miasta Myśliborza”.

nadodrże

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, i p. oraz adres dla korespondencji: 65-058 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-33 sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dlaży telefon wewnętrzny) Telex 943258 Redaguje zespół: Halina Anska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło.



SMK '87

Od 10 lat odbywają się w Myśliborzu spotkania młodych autorów i kompozytorów. W tym roku jury nie przyznało dwu głównych nagród, trzecią — „Dębowy szczebel do kariery” — otrzymał Andrzej Polczyński z Gołanicy w woj. pilskim. Wśród laureatów nagrody ZAKR jest zespół „Ex Nonet” z Nowej Soli. W imprezie wzięło udział 100 osób z całego kraju. Wystąpili także laureaci z lat poprzednich — Jan Jakub Należyty, Piotr Bukart, Marek Majewski. Koncerty odbywały się w Myśliborzu i w okolicznych miejscowościach.

Z sądu

W Wydziale Karnym Sądu Wojewódzkiego w Zielonej Górze rozpoczął się długi proces sądowy. Oskarżonym jest Janusz K., były kierownik działu historycznego i były zastępca dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej. Prokurator zarzuca mu, że zagarnął mienie muzealne (m.in. bronią białą i palną) na wartość 1,4 mln zł oraz nie dopilnował zabezpieczenia drzwi, w wyniku czego zaginęło wiele przedmiotów wartości 2,3 mln zł. Oskarżony Janusz K. dotąd nie przyznał się do winy. Przesłuchiwanie są świadkowie.

Laureaci

Redaktor Jan Delijewski z „Ziemi Gorzowskiej” otrzymał wyróżnienie im. Wiesława Kaczmarka, przyznane mu przez Klub Dziennikarzy Sportowych Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, Grupa teatralna „Z przeniesienia”, działająca w domu kultury „Mrówisko” w Zielonej Górze, zdobyła trzecią nagrodę zespołową i dwie indywidualne (Roman Wieckowski — reżyser oraz Małgorzata Rogala — aktorka) na Ogólnopolskim Festiwalu Teatralnym w Lublinie.

Zaprosili nas

Ośrodek Postępu Technicznego w Katowicach na Dni Techniki Austriackiej '87. Zarząd Główny Stowarzyszenia „Wisła-Odra” na spotkanie na temat „Piastowska Myśl Zachodnia” do Poznania, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze na sesję popularno-naukową pt. „Życie i twórczość Jakuba Barta-Ciesińskiego”, Wojewódzki Dom Kultury w Zielonej Górze na XIV Biesiadę Kołgarską w Zbąszyniu, Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystaw — malarstwa Wiesława Garbolskiego i malarstwa Marzanny Wróblewskiej, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze na otwarcie wystawy grafiki Doroty Martini i Krzysztofa Jarzębńskiego, Lubuskie Towarzystwo Kultury na otwarcie wystawy prac członków Sekcji Plastyki Amatorskiej, Estrada Ziemi Lubuskiej na koncert „M. Bajor, A. Majewski, B. Wrzesińska i inni”, Rada Wojewódzka Zrzeszenia „Start” w Zielonej Górze na Mistrzostwa Polski Inwalidów w strzelectwie sportowym, Zarząd Województwa TPPr w Zielonej Górze na uroczyste plenarne posiedzenie z okazji 70 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

wska (stażystka) Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelny) Wiesław Nodzyński (sekretarz red.) Piotr Piotrowski Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki Korekta Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterowicz Sekretariat redakcji Elżbieta Walenska Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51 Centrala telefoniczna 46-61 do 51 Dyrektor Zbigniew Pietkiewicz tel. 717-55 Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

B-20

KLUBOWE WIZYTOWKI

„POLESIE”

ZNÓW W BIAŁKOWIE

Klub Prasy i Książki w Białkowie gmina Cybinka istnieje już od wielu lat. Należy do grupy najstarszych tego typu placówek kulturalno-oświatowych, zorganizowanych na terenie oddziału krośnieńskiego. Były w tym istnieniu krótsze lub dłuższe przerwy, były też wznioły i upadki, ale mimo różnych wahań i potknięć natury kadrowej i organizacyjnej, placówka przetrwała do dziś. A to się liczy, bo już teraz niewiele jest takich klubów, które powstały w pierwszych latach uniesienia, kiedy to nowe placówki na wsi i w miastach „wyrastały jak grzyby po deszczu”.

Warunki lokalowe klubu nie są najlepsze do prowadzenia wielkiej działalności kulturalno-oświatowej, ale też nie należą do najgorszych. Ot po prostu pomieszczenie dwuizbowe z wydzieloną częścią handlową, co ma bardzo duże znaczenie dla funkcjonowania innych form pracy. Przy klubie działa słynny w tamtej okolicy zespół folklorystyczny „Polesie”. Do swojej pracy wykorzystuje również

istniejącą przy klubie wiejską świetlicę (salę widowiskową).

Pierwsi założyciele i członkowie zespołu przybyli z Polesia, teraz tamtych zmieniło już nowe pokolenie i zespół istnieje dalej. Repertuar artystyczny mają typowo poleski. Stroje regionalne uszyli sobie sami z materiałów tkanych własnoręcznie na ludowych urządzeniach tkackich.

Zespół, podobnie jak klub, przeżywał też swoje wznioły i upadki. Był czas, że nie istniał. Teraz znów go odtworzono. Starsze panie nauczyły śpiewać młodsze pokolenie, pomogły utkać materiał, uszyć stroje. Obecnie najaktywniejszymi członkami zespołu są: Krystyna Ziemia, Stanisława Pałyska, Janina Gryszczuk, Stanisława Holówko, Maria i Jadwiga Betanin, Halina Radkiewicz i gospodyni klubu — Iwona Plaskota. Trzeba przyznać, że zespół w Białkowie istnieje dzięki dużej pomocy miejscowego koła KGW i społecznej rady klubu. Szkoda, że nie ma tam jakiegos instruktora czy też animatora kultury.

2 notesu

Chyba pierwszą w Polsce klubowo-kawiarnię założył w Przylipie pod Zieloną Górą Jan Bzdęga, niespożyty energią działacz, którego nie rozpieszczano zaszczytami. Stało się to na kilka tygodni przed olimpiadą w Rzymie. Zdążył też na czas zainstalować telewizor, tak że cały Przylip oglądał transmisję z olimpiady. W cztery lata później w Maszewie pod Krosnem otwarto pierwszy w Zielonogórskim klub „Ruch”.

Wiesz chciała się teraz przynajmniej w tej sferze codziennego życia upodobnić do miasta. Więc kto chciał, kto miał jakikolwiek warunki, a wystarczyła je dla wolna izba, zakładał klub. Powiaty szły w zawody ze sobą. Gminne spółdzielnie konkurowały z Przedsiębiorstwem „Ruch”. Kluby miały coś z miejskiej kawiarni i wiejskiej, dawniej świetlicy. Przy okazji, wedle miejskiego wzorca, pito kawę, której wtedy, jak nieco starsi czytelnicy pamiętają, było w bród. Telewizor, wówczas najczęściej jedyny we wsi, ściągali do klubu publiczność. W przerwy pomiędzy ciekawymi programami telewizyjnymi czasem wlewał się dowieziony z miasta prelegent. Kluby, zwłaszcza w sobotnie i niedzielne wieczory, były pełne i gwarne. Zrodzone tam inicjatywy służyły całej społeczności wiejskiej.

Z czasem telewizor także w wiejskich domach stał się sprzętem powszednim. To, co kiedyś łączyło ludzi, zaczęło dzielić. Już się przestano zbierać przed telewizorem w klubie. Telewizor do klubu nikogo nie przyciąga. Ma go się przebiec w domu. Czasem jedynie dzieci lubią coś wspólnie obejrzeć. Może by dziś do klubu, także wiejskiego, przyciągnęło wideo, ale wideo u nas to ciągle domena ludzi bogatych oglądających różne takie rzeczy w zaciszu domowych pieleszy. Kiedy wideo trafi pod klubowe powyłaje wydaje się, że w domach będzie już telewizja satelitarna.

Liczba klubów maleje. Sypią się na prędko kiedyś oddawane na kluby lokale, chociaż różnymi siłami, urzędowymi i społecznymi, corocznie sporo się re-

Na podzwonne za wcześnie

montuje i konserwuje. Ubytki przeważają jednak nad zyskami. Niektóre kluby gasną ze starości, z braku zainteresowania się nimi wiejskiej społeczności, stają się po prostu kioskami, gdzie najwyżej ktoś coś kupi i zamieni parę słów z gospodynią. Zimą, która raczej sprzyja działalności kulturalnej, z braku węgla wiele klubów się zamyka i to czasem te najlepsze.

Dziś w obu lubuskich województwach zostało się 313 klubów, którym patronuje „Ruch”. Mniej więcej co trzeci klub lepiej lub gorzej wypełnia swoje funkcje, ktoś do niego przychodzi, coś się w nim dzieje. Najczęściej przychodzi dzieci. Kluby wiejskie to teraz przede wszystkim królestwo dzieci. Statystycznie przy 130 klubach działają sekcje plastyczne, które skupiają 4 tysiące dzieci. Odnotowuje się też 72 teatryki kukielkowe. Kluby odbierają tu trochę chleba szkołom i harcerstwu. A może to szkoły i harcerskie teatryki, które dla konkursowych statystyk występują też pod klubowym szyldem? Przy klubach ma dziś działać 41 teatryków przy kawie. Czyżby jako wspomnienie po kawie po zostały na wsi teatryki? Odradza się idea recytowania przez młodych ludzi wierszy.

W Lipnie, Chwałiszewicach, Chotkowie, Jankowej Zagańskiej, czy też w gminie Brody, żeby się tylko do tych miejscowości ograniczyć, dostrzega się jakby przypływ aktywności kulturalnej, która także nie omija klubów. Niektórym znów chce się działać dla wspólnego dobra.

Ale po klubach najczęściej przechadza się smutek.

Przed kilku laty na najwyższym szczeblu napodpisywano wiele przeróżnych porozumień. Wysokie umawiające się strony deklarowały pomoc także wiejskim klubom. Na złożeniu podpisów najczęściej wszyscy się skończyło. Dziś nawet pretensji do nikogo mieć nie można, sygnatariusze dawno już odeszli ze swych stanowisk, niektóre resorty polikwidowano. Pozostał „Ruch”

i gminna władza, która nawet nie zawsze posiada dobre chęci, nie mówiąc już o możliwościach. Najsmutniej, że z patronowania kulturze wycofuje się czasami gminna spółdzielczość, tak kiedyś hojna i aktywna. Teraz przy zastrzeżeniu kryteriów finansowych, przy sa modzieleńsi zakładów pracy, może okazać się to zjawiskiem powszechnym. Poza wyjątkami, mimo różnych zachęt, od klubów odwrócił się nauczyciele.

Kluby to przedsięwzięcia deficytowe. Obróty w nich niewysokie, dobrze, jeżeli w miesiącu sięgają 100 tysięcy zł., bo wieś codziennie dojeżdżająca do miasta tu kupuje papierosy, zapalki i gazety. Niskie obroty, to niska prowizja. Stąd w wielu klubach ciągłe zmiany załogi. Co rok to nowa osoba. Tylko w 77 klubach od lat pracują te same gospodynie, pasjonatki tej pracy, autentyczne miłośniczki kultury, bo praca w klubie to ani zawód, ani interes, chociaż wprowadzono dodatek, według dzisiejszych cen raczej symboliczny, za działalność kulturalną. Pobiera go co szósta, mająca odpowiednie przygotowanie, gospodynia.

Z wielu mecenasów ostali się jeszcze niektóre urzędy gminne i PGR-y, które są najczęściej gospodarzami obiektów klubowych i Przedsiębiorstwo „Ruch”, którego garnuszek też ma coraz płytsze dno. A nowych mecenasów nie widać, chyba że rolnicy zechcą dodatkowo się opodatkować na kulturę w miejscach swojego zamieszkania? Coraz częściej słyszy się głosy, żeby kluby po prostu zamknąć. Spełniły swoje posłannictwo, przy dzisiejszym udomowianiu życia kulturalnego, także na wsi, straciły rację bytu. Przynajmniej spora część z nich.

Przed trzydziestu laty przeszło przez Polskę zawołanie: „Precz ze świetlicami!”. Dziś też można zawołać „Koniec z klubami na wsi!”. Tylko wtedy, na miejsce rozsypanych świetlic, powstały kluby „Ruchu”, kluby rolnika. Co zatem dzisiaj w zamian? Nic?

JANUSZ KONIUSZ

nadodrze

ROzrywki umysłowe

rodzicielka zawijas	szczyt w tatrach	mięso	trzonowe dawna moneta srebrna	chłop w kratę
4			9	I
powietrzna			ofiarą Kaina	
strzyżnia kobiety szczęśliwa				
10		Turku tenisowy		
pokrywa hormon kawior				5
	8		łata	pias
minerał krzemionka			imię męskie	6
stru- tek uczeń	główny port zwierz Ghany	2		
12	piosenkarz polski	niewolnik	14	
faj- ciapa				
	II	metal 1. lat. 86	kapi- tan arki	imię cygan- ki
pora roku	port włoski, miejsce ur. Kolumba			15
	1/100 złotego	3	7	
	rodzaj suchego ciastka			

rys. L. HERMANOWICZ

oprac. S. PATYCKI

Po rozwiązaniu krzyżówki należy wypisać litery z pól oznaczonych od 1 do 15 i odczytać rozwiązanie. Hasło wraz z załączonym kupnem należy przesłać pod adresem redakcji, w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru.

Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi zostaną rozlosowane nagrody ufundowane przez Zarząd Wojewódzki Ochotniczych Straży Pożarnych z funduszu prewencyjnego PZU: 10 bonów PKO po 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 21

Prawidłowe hasło: „Zima i lato z PTTK”. Nagrody ufundowane przez Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego PTTK w Zielonej Górze otrzymują: ● wędkę teleskopową — Hanna Strzelczak z Rostarzewa w woj. poznańskim, ul.

Wolsztyńska 65 ● paletki do tenisa: Alojzy Rutkowski, pl. Wolności 19/2, Kamienna Góra i Zofia Rutkowska, ul. Konopnickiej 15, Zary ● 1-palnikową kuchnię gazową — Lech Malinowski, ul. Karpińskiego 22/1, Zary. Gratulujemy. Nagrody przesłane będą pocztą.

MICHAŁ TOŚ — redaktor „Gazety Lubuskiej”



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA

MaRGinałki

BYĆ KLASYKIEM? Jan Marszałek na łamach „Rzeczywistości” od dawna domaga się by uznać go jednym z najlepszych poetów polskich średniej generacji. W publikowanych wspomnieniach pojawiają się wielkie i średnie nazwiska z Parnasu, na który bezskutecznie — dzięki intrygom i zawiściom — usiłuje się wdrapać... W „Epilogu bez epilogu” („Rzeczywistość” nr 43) poeta wyznaje: „Różnica między mną a tymi, co chcieli by mnie odmienić w baranka bożego albo tygrysa z wyciosaną swastyką na czole jest taka, że ja do roku 1980 stałem z boku i w ogóle mnie to bajorko nie obchodziło, żyłem swoim światem, a była nim poezja, sztuka”. I dalej: „Wcale to jeszcze nie świadczy, że nie dostrzegam tego, co dzieje się w moim kraju: w 1970 pojechałem do Łodzi, gdzie strajkowały włókienniki, zrobiłem z nimi kilkadziesiąt rozmów i w oparciu o nie napisałem tyleż wierszy...”. Po takiej zapłodnionej erupcji talentu dziwnym się zdziwieniu Jana Marszałka, iż wierszy tych nie chciał drukować Krzysztof Gęsiowski i Józef Lenart we „Współczesności”, ani Lech Budrecki i naczelny „Kultury”, którego poeta nazywa Choromańskim. Michał Choromański, o ile nam wiadomo, nigdy nie był redaktorem „Kultury”, redaktorem naczelnym był Dominik Horodyński. I jak tu wierzyć wspomnieniom Marszałka?

SKAD SIĘ BIERZE IDEOLOGICZNA AGRESJA? Odpowiedzi udzieli Bożena Krzywobłocka w „Rzeczywistości” (nr 43) na przykładzie losów Mikołajczyka: „Po powrocie na emigrację Mikołajczyk zachowywał się niezwykle agresywnie, budząc zdumienie innych emigrantów swą krącością działań. Jak wspominał Popiel sprawa owych wybuchów nienawiści została wyjaśniona już po śmierci Mikołajczyka — cierpiał on na tumor mózgu, powodujący bóle głowy”. To oryginalne odkrycie winno być spopularyzowane, również w naszym kraju.

KRETE DROGI PODSZEWKI. Jak informuje „Ekspres” Włocławek, „Tygodnik Powszechny” nr 43: „Krakowskie Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Vistula” sprowadzają za dewizy podszewkę (1,80 dol. metr). Otóż, jak się okazało, podszewkę tę wyprodukowały zakłady „Silvana” w Gorzowie Wielkopolskim i wyeksportowały na Zachód otrzymując 80 centów za metr. „Silvana” z racji eksportu otrzymuje ulgę podatkową, co z kolei rzutuje na zarobki załogi. Gdyby zaś „Vistula” zapłaciła im za podszewkę z własnego odpisu dewizowego, eksport „Silvana” nie zostałby zaliczony”. Oto symptomatyczny przy-

czynek do naszej dyskusji o reformie gospodarczej.

CO WPŁYWAŁO NA MIŁOSZA. W tymże samym numerze „Tygodnika Powszechnego” ciekawa rozmowa Aleksandra Fluta z Czesławem Miłoszem, który wspomina wileńskie lata młodości. Jest dużo o związkach kulturowych, o fascynacji przyrodą: „Poza tym wzięmy pod uwagę, że istniała cała literatura myśliwska skoncentrowana na Litwie. Głównym pisarzem w tym zakresie był Włodzimierz Korsak, który pochodził z Witebszczyzny. No i oczywiście gloryfikował przyrodę tego, co się w szerokim słowa znaczeniu nazywa Litwą. Więc na pewno te rzeczy oddziaływały bardzo silnie. Taka książka Włodzimierza Korsaka, jak „Rok myśliwego”. Ostatecznie to była książka nie o Polsce, tylko o Litwie, o porach roku, o zwierzętach tak zwanej Litwy historycznej. Te rzeczy wpływały”.

Z TUPETEM W ŚWIAT. Bohaterem felietonu Marka Kasza („Kultura” nr 43) jest przyjaciel naszego pisma, felietonista i recenzent teatralny, animator życia kulturalnego i utalentowany poeta, który — choć dotychczas nie opublikował ani jednego tomiku wierszy — już został swego czasu w „Ziemi Gorzowskiej” nobilitowany na pisarza. Oczywiście, chodzi o człowieka młodego a gniewnego, czyli o Dariusza Muszera ze Strzelca Krajeńskich. Marek Kasz niesłusznie dobił mu się do skóry z racji opublikowania w 7 n-rze „Reportera” zamaskowanego reportażu typu interwencyjnego, nagrodzonego zresztą w konkursie tegoż pisma. Zarzuca mu, iż „takie zamaskowane pisanie odważnym nazwać nie można”. A wcześniej cytując wypowiedź samego Muszera: „Lubię tematy drastyczne, ostre. Nie wszyscy pewnie to to uwierzą, ale nie boję się ryzyka, podciąga mnie ono nawet. Prawdziwy reporter, profesjonalista czy amator, musi się narażać, musi obrywać. Jestem na to przygotowany. Jest to koszt, jaki płaci się za wygrzywanie pewnych słusznych spraw, za podejmowanie krytyki, demaskowanie czy oświecanie. (...) Zdaję sobie sprawę z tego, że mam dużą siłę przebiecia, nawet tupet. Wiąże się to z pewną cechą mego charakteru: mam poczucie własnej wartości. Drażni to wielu ludzi z mojego otoczenia, ale mnie dodaje jeszcze większej odwagi”. No, i cóż panie Kasz? Dowartościował pan swego bohatera. My doręczymy jednak swoje trzy grosze: opisany przez Muszera z taką nonszalancją konflikt rozgrywa się w Zespole Szkół Rolniczych w Strzelcach Krajeńskich. A swoją drogą to całkiem szczęście, że autor, z wykształcenia prawnik, nie został prokuratorem.

ŻYCIE HOTELOWE STOLICY. „Kamena” (nr 21) piórem Piotra Becka opisuje „Samo życie (hotełowe) w Warszawie”. Autor pisze m.in.: „Ostatnio zmusiły mnie jednak powinności zawodowe do wahadłowego niemal kursowania między Lublinem a stolicą, czego nie dało

się opędzić jednodniowym wypadem. Poznałem więc świat warszawskich hoteli... (...) I zakotłował się przede mną obraz wieczornego półświatka, podrygującego w blasku „prawdziwego” wielkiego świata”. Niestety, bliższych szczegółów nie znamy.

Z KIM ŁATWIEJ ŻYĆ? W dyskusji, spisanej z TV a opublikowanej w bydgoskich „Faktach” (nr 43) red. Halszka Wasilewska konstatuje: „Pary dobiera się na etapie, kiedy mężczyzna przede wszystkim odbiera urodę. Na początek życia, większe szanse mają piękne, chociaż łatwiej żyć ze szlachetnymi. Czy tak? Naszym skromnym zdaniem łatwo żyć ze wszystkimi byle były pieniądze i wzajemna tolerancja. A może najłatwiej żyć samemu, jak twierdził red. Ryndak.

CZYSTA WODA. Michał Radgowski w felietonie pt. „Zródelko” („Kobieta i Życie” nr 43) informuje: „Pewnego dnia w mojej dzielnicy trysnęło municypalne zródelko, to znaczy uruchomiono studnię głębinową z czystą, nie chlorowaną wodą.

Problem czystej wody jest na pewno ważniejszy niż kwestia chrupiących bułek, choć oczywiście nie ma żadnego powodu, byśmy zrezygnowali z jednego czy drugiego. Według zaleceń oświeconych lekarzy człowiek powinien wypijać dziennie dwa litry wody, możliwe nie gazowanej i nie słodzonej, broń Boże także nie w postaci herbaty, kawy lub czystej wyborowej...”. Z kolei autor opowiada, jak to tłok powstał wokół zródelka, jak długie ustawiają się kolejki, równie mieszkańców innych osiedli. W związku z tym felietonem warto poinformować, że i Zielona Góra ma swoje „zródelko” — jest nim kran, przy chodniku ulicy Moniuszki, z którego wypływa smaczna woda, wcale nie przypominająca smaku owocowych win, choć tenże kran wystaje z murów Wytwórni winopodobnych napoi. I co dziwniejsze — wcale przy nim nie tworzą się kolejki... Kolejki zauważamy za to przed sklepami z wyrobami „Polmosu”. Woda wódzie nie równa.

NAJLEPIEJ OBRADOWAC W KOŁOBRZEGU? Jak informuje „Przegląd Tygodniowy” (nr 45) — „Kuracjuszom przebywającym na leczeniu w Kołobrzegu nie daje spokoju świadomość, że najbardziej ekskluzywny hotel „Sólno” jest zajęty przez TNOiK na kursokonferencję dyrektorów, którzy przyjechali aż z Zielonej Góry. Rozgorączkowanie, napisali do nas w tej sprawie. Apelujemy więc do TNOiK-u i dyrektorów z Zielonej Góry, aby nie urządzali kursokonferencji w miejscowościach, w których przebywają ludzie chorzy lub słabego zdrowia, ponieważ psują tym wyniki leczenia”. Apel przekazujemy dalej i przy okazji informujemy, że na wspomnianej kursokonferencji nie był obecny redaktor Jerzy Nogiel.